

Powrót do domu

Robin Hobb



calibre 0.9.27

Robin Hobb

POWRÓT DO DOMU

Dzień 7 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego

i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Tego dnia skonfiskowano mi, bez dania racji niesprawiedliwie, pięć skrzyń i trzy kufry. Stało się to w czasie załadunku statku *Venture*, który wyruszał szlachetnym staraniem Satrapy Esklepiusa, by skolonizować Przeklęty Brzeg. Skrzynie zawierały co następuje: jeden blok doskonałego białego marmuru wielkości stosownej dla popiersia. Dwa bloki artystycznego nefrytu wielkości stosownej dla popiersia. Jeden wielki, piękny steatyt wysokości człowieka i takiejże szerokości. Siedem wielkich sztab miedzi doskonałej jakości. Trzy sztaby srebrne jakości zadowalającej. I trzy baryłki wosku. Kufry zawierały co następuje: dwie suknie jedwabne, jedną niebieską, drugą różową, uszyte przez szwaczkę Wistę i noszące jej znak. Materiał na suknię, zielony. Dwie chusty, jedną z białej wełny, drugą z niebieskiego płótna. Kilka par pończoch grubości odpowiedniej na zimę i lato. Trzy pary pantofli, jedną jedwabną i haftowaną w pąki róży. Siedem halek, trzy jedwabne, jedną z płótna i trzy wełniane. Jeden gorset z lekkich fiszbinów i jedwabiu. Trzy tomy poezji spisane własnoręcznie. Miniaturę Soijiego przedstawiającą mnie, lady Carillion Carrock z domu Waljin, zamówioną przez moją matkę, lady Arston Waljin, z okazji moich czternastych urodzin. Zawierały również ubranka i pościel dla dziewczynki w wieku czterech lat i dwóch chłopców w wieku lat sześciu i dziesięciu, włącznie z zimowym oraz letnim strojem na uroczystości oficjalne.

Rejestruję tę konfiskatę, żeby po moim powrocie do Jamailii można było złodziei oddać w ręce sprawiedliwości. Kradzieży dokonano w następujący

sposób. Gdy nasz statek był załadowywany przed wyruszeniem w drogę, ładunek należący do znajdującej się na pokładzie arystokracji zatrzymano na nabrzeżu. Kapitan Triops poinformował nas, że nasze rzeczy będą bezterminowo powierzone opiece Satrapy. Nie mam zaufania do tego człowieka, ponieważ nie okazuje ani mojemu małżonkowi, ani mnie należytego szacunku. Sporządzam więc tę notatkę, a najbliższej wiosny, po moim powrocie do Jamailii, mój ojciec, lord Crion Waljin, wniesie tę skargę do sądu Satrapy, jako że mój małżonek wydaje się mniej chętny to uczynić. Co uroczyście przyrzekam.

Lady Carillion Waljin Carrock

***Dzień 10 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego
i prześwietnego Satrapy Esklepiusa***

Warunki na pokładzie są nie do zniesienia. Robię kolejny wpis w swoim dzienniku, chcąc odnotować trudności i niesprawiedliwość, tak by pozostało

świadeństwo pozwalające ukarać tych, którzy ponoszą za to odpowiedzialność.

Mimo że jestem szlachetnie urodzona, z domu Waljin, i mimo że mój mążonek jest nie tylko arystokratą, ale również dziedzicem tytułu lorda Carrock, kwatery nam przyznane nie są wcale lepsze od tych, które przydzielono prostym emigrantom i spekulantom, to znaczy jest to cuchnące miejsce w ładowni.

Jedynie pospolici przestępcy, skuci łańcuchami w najgłębszych ładowniach, cierpią bardziej od nas.

Podłogę stanowi pełen drzazg pokład, ściany zaś to surowe deski kadłuba.

Wiele wskazuje na to, że ostatnimi mieszkańcami tego miejsca były szczury.

Jesteśmy traktowani nie lepiej niż bydło. Nie ma oddzielnej kwatery dla mojej służącej, więc jestem zmuszona znosić to, że śpi niemal obok nas! Pragnąc uchronić moje dzieci od kontaktu z bachorami emigrantów, poświęciłam trzy adamaszkowe zasłony, żeby się odgrodzić od reszty. Ci ludzie nie okazują mi żadnego szacunku. Jestem przekonana, że ukradkiem plądrują nasze zapasy żywności. Gdy ze mnie kpią, mąż każe mi nie zwracać na to uwagi. Ma to okropny wpływ na zachowanie mojej służącej. Dziś rano służąca, która w naszym okrojonym teraz gospodarstwie domowym pełni również funkcję niani, niemal szorstko zwróciła się do małego Petrusa, każąc mu być cicho i przestać ciągle zadawać pytania. Gdy ją za to zganiłam, ośmieliła się zmarszczyć czoło.

Moja wizyta na otwartym pokładzie była stratą czasu. Pełno na nim lin, płótna oraz nieokrzęsanych mężczyzn i nie ma warunków, żeby damy i dzieci mogły zażyć świeżego powietrza. Morze było nudne, a jedyny widok stanowiły

odległe, zamglone wyspy. Nie znajdowałam nic, co poprawiłoby mi nastrój, podczas gdy ten obrzydliwy statek unosił mnie coraz dalej od strzelistych białych iglic poświęconego Sa błogosławionego miasta Jamaillia.

W tej ciężkiej dla mnie sytuacji nie mam na pokładzie żadnych przyjaciół, którzy by mnie rozbawili czy pocieszyli. Lady Duparge zaprosiła mnie raz, a ja zachowywałam się uprzejmie, ale różnica pozycji utrudniała rozmowę. Lord Duparge jest dziedzicem niemal wyłącznie swojego tytułu, dwóch statków i jednej posiadłości, która graniczy z moczarami Gerfen. Lady Crifton i lady Anxory wydają się zadowolone z własnego towarzystwa i w ogóle nie wystosowały do mnie zaproszenia. Obie są zbyt młode, aby mieć osiągnięcia, którymi mogłyby się podzielić, mimo to ich matki powinny były pouczyć je o obowiązkach towarzyskich, jakie mają wobec ludzi wyższego stanu. Obie mogłyby skorzystać na mojej przyjaźni po powrocie do Jamaillii. To, że postanowiły nie zabiegać o moje względy, niezbyt dobrze świadczy o ich intelekcie. Bez wątpienia byłabym nimi znudzona.

W tym okropnym otoczeniu czuję się nieszczęśliwa. Dlaczego mój małżonek postanowił zainwestować swój czas i środki w to przedsięwzięcie, przekracza możliwości mojego pojmowania. Z pewnością ludzie bardziej przedsiębiorczej natury lepiej przysłużyliby się tej sprawie naszego Znamienitego Satrapy. Nie potrafię też zrozumieć, dlaczego nasze dzieci i ja sama musimy mu

towarzyszyć, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę mój stan. Nie wydaje mi się, żeby mój małżonek choć przez chwilę zastanowił się nad problemami, jakie podróż ta może stwarzać ciężarnej kobiecie. Jak zwykle nie uznał za stosowne przedyskutować ze mną swoich decyzji, tak samo zresztą jak ja nie radziłabym się go w sprawie moich artystycznych pasji. Mimo to moja ambicja musi ucierpieć, by on mógł oddać się swoim pasjom! Ma nieobecność poważnie opóźni ukończenie *Kurantów w kamieniu i metalu*.

Brat Satrapy będzie bardzo rozczarowany, ponieważ instalacja ta miała uświetnić jego trzydzieste urodziny.

Dzień 15 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwieanego Satrapy Esklepiusa

Byłam głupia. Nie. Zostałam oszukana. Nie jest głupotą zaufać, gdy ma się wszelkie podstawy oczekiwać solidności. Gdy ojciec powierzył moją rękę i los lordowi Jathanowi Carrockowi, był przekonany, że jest to człowiek zamożny, solidny i poważany. Ojciec błogosławił Sa za to, że moje artystyczne osiągnięcia przyciągnęły zalotnika o tak wysokiej pozycji. Gdy płakałam nad losem, który zmusił mnie do poślubienia mężczyzny o tyle ode mnie starszego, matka doradziła mi, żebym się z tym pogodziła oraz zajęła się swoją sztuką i zdobyła sławę dzięki jego wpływom. Zastosowałam się do jej mądrej rady. Przez ostatnie dziesięć lat, gdy moja młodość i uroda zbladły u jego boku, urodziłam mu troje dzieci, a pod moim sercem rośnie kolejne. Byłam jego ozdobą i błogosławięństwem, a mimo to oszukał mnie. Gdy myślę o tych godzinach, które poświęciłam na zarządzanie jego domem, godzinach, które

mogłam poświęcić mojej sztuce, krew ścina mi się w żyłach z goryczy.

Dzisiaj po raz pierwszy poprosiłam, a później, z poczucia obowiązku wobec moich dzieci, zażądałam, żeby zmusił kapitana do przydzielenia nam lepszej kwatery. Wysławszy trójkę naszych dzieci z nianią na górny pokład, wyznał, że w planie kolonizacyjnym Satrapy nie jesteśmy inwestorami z własnej woli, lecz wygnańcami, którym dano szansę uniknięcia hańby. Wszystko, co zostawiliśmy: posiadłości, domy, wartościowe przedmioty, konie, bydło... wszystko to zostało skonfiskowane przez Satrapę, podobnie jak rzeczy, które nam zajęto, gdy wchodziliśmy na pokład. Mój szacowny, poważany małżonek zdradził naszego szlachetnego i ukochanego Satrapę i spiskował przeciwko tronowi błogosławionemu przez Sa.

Wyciągałam z niego to wyznanie po kawałku. Stale mówił mi, żebym nie zawracała sobie głowy polityką, że to jest wyłącznie jego zmartwienie. Mówił, że żona powinna ufać mężowi, iż ten właściwie pokieruje ich życiem. Mówił, że do następnej wiosny, gdy statki przyłyną z uzupełnieniem zapasów dla naszej osady, odzyska nasz majątek i powrócimy na łono społeczeństwa Jamaillii. Ja jednak w dalszym ciągu zadawałam mu te niemądre kobiece pytania. „Cały nasz majątek zajęty?” – spytałam go. – „Cały?” A on powiedział, że zrobiono to,

żeby ocalić dobre imię Carrocków, tak aby jego rodzice i młodszy brat mogli żyć z godnością, nie uwikłani w skandal. Pozostała mała posiadłość, którą odziedziczył jego brat. Dwór Satrapy będzie przekonany, że Jathan Carrock postanowił zainwestować cały swój majątek w przedsięwzięcie władcy. Jedynie ludzie z najbliższego otoczenia Satrapy wiedzą, że to była konfiskata. Aby uzyskać to ustępstwo, Jathan przez wiele godzin błagał na kolanach, poniżając się i prosząc o wybaczenie.

Bardzo długo się nad tym rozwodził, tak jakby miało to zrobić na mnie wrażenie. Ale co mnie obchodziły jego kolana. „A co z Thistlebend?” – zapytałam. – „Co z tamtejszym domkiem przy brodzie i pieniędzmi, które przynosił?” Wniosłam mu go w posagu i chociaż jest skromny, myślałam, że zostanie przekazany Narissie, gdy będzie wychodzić za męża. „Przepadł – powiedział – przepadł na amen”. „Ale dlaczego?” – naciskałam. – „Ja nie spiskowałam przeciwko Satrapie. Dlaczego mnie się karze?”

Rozłoszczony powiedział, że jestem jego żoną i oczywiście będę dzielić jego los. Nie rozumiałam dlaczego, a nie wyjaśnił mi, w końcu zaś powiedział, że taka głupia kobieta nigdy tego nie zrozumie, i kazał mi zamknąć buzię na kłódkę, zamiast mleć ozorem i dawać dowody ignorancji. Gdy zaprotestowałam, że nie jestem głupia, że jestem słynną artystką, oświadczył mi, że teraz jestem żoną kolonizatora i że mam wybić sobie z głowy swoje artystyczne pretensje.

Ugryzłam się w język, żeby na niego nie wrzasnąć. W środku jednak aż się gotowałam z wściekłości na tę niesprawiedliwość. Thistlebend, w którym z moimi siostrzyczkami brodziłyśmy w wodzie i zrywałyśmy lilie, udając

boginie z tymi naszymi białozłotymi berłami... przepadło z powodu głupoty i zdrady Jathana Carrocka.

Słyszałam plotki o wykryciu spisku przeciwko Satrapie. Nie zwracałam na nie uwagi. Myślałam, że to mnie nie dotyczy. Powiedziałabym, że kara jest sprawiedliwa, gdybyśmy ja i moje niewinne dzieci nie wpadły w te same sidła, w których znaleźli się spiskowcy. Tę ekspedycję sfinansowano ze skonfiskowanych bogactw. Arystokraci, którzy popadli w niełaskę, zostali zmuszeni do przyłączenia się do Towarzystwa złożonego ze spekulantów i eksploratorów. Co gorsza, trzymani w ładowniach wygnani przestępcy – złodzieje, prostytutki i zbiry – zostaną uwolnieni i dołączą do naszego Towarzystwa, gdy dobijemy do brzegu. W takim to otoczeniu będą przebywać moje kochane dzieci.

Nasz Błogosławiony Satrapa wspaniałomyślnie dał nam szansę zrehabilitowania się. Nasz Najszlachetniejszy i Prześwietny Satrapa przyznał każdemu mężczyźnie z Towarzystwa dwieście leferów ziemi, które można sobie wybrać wzdłuż biegu Rzeki Deszczowej, stanowiącej granicę z barbarzyńską Chalcedonią, lub na Przeklętym Brzegu. Nakazuje nam założyć pierwszą osadę nad Rzeką Deszczową. Wybrał dla nas to miejsce z powodu starożytnych legend o Królach Najstarszych i ich Królowych Ladacznicach. Powiada się, że dawno temu wzdłuż rzeki znajdowały się ich wspaniałe miasta. Posypywali skórę

złotem i nosili klejnoty nad oczami. Tak mówią podania. Jathan powiedział, że starożytny zwój, na którym przedstawione są ich osady, został niedawno przetłumaczony. Wątpię w to.

W zamian za szansę zdobycia nowych fortun i odzyskania dobrego imienia

Nasz Wspaniały Satrapa Esklepius domaga się jedynie połowy tego, co uda nam się tu znaleźć lub wyprodukować. Za to wszystko Satrapa otoczy nas opieką, za naszą pomyślność będą się odbywać modły, a dwa razy do roku do naszej osady przybędzie jego statki, by mógł się upewnić, że dobrze nam się powodzi.

Gwarantuje to podpisana osobiście przez niego Karta naszego Towarzystwa.

Lordowie Anxory, Crifton i Duparge popadli w taką samą niełaskę jak my,

jednak ich upadek był mniej bolesny, byli bowiem lordami o mniejszym

znaczeniu. Na pokładach pozostałych dwóch statków naszej floty są inni

arystokraci, ale żadnego z nich nie znam dobrze. Cieszy mnie, że moi drodzy

przyjaciele nie podzielili mego losu, chociaż boleję, że udaję się na wygnanie

sama. Nie będę oczekiwać pocieszenia od małżonka, który sprowadził na nasze

głowy to nieszczęście. Na dworze rzadko kiedy tajemnica długo pozostaje

tajemnicą. Czy to dlatego właśnie żaden z moich przyjaciół nie przyszedł do

portu, żeby mnie pożegnać?

Moja matka i siostra niewiele czasu mogły poświęcić na pakowanie mych

rzeczy i pożegnanie. Płakały, żegnając się ze mną w domu mojego ojca, lecz nie

towarzyszyły mi do brudnego portu, w którym czekał na mnie statek banitów.

Dlaczego, o Sa, nie powiedzieli mi prawdy o moim losie?

W tym momencie wpadłam jednak w histerię, zaczęłam drżeć i płakać, a od

czasu do czasu krzyczałam, czy tego chciałam czy nie. Jeszcze teraz ręce trzęsą mi się tak mocno, że te rozpaczliwe bazgroły błakają się po całej stronie.

Wszystko straciłam: dom, kochających rodziców i – co najbardziej bolesne – sztukę, która daje mi radość życia. Rozpoczęte dzieła, które zostawiłam, nigdy nie zostaną ukończone, a to boli mnie równie mocno jak urodzenie martwego dziecka. Żyję tylko po to, by doczekać dnia, gdy będę mogła powrócić do wspaniałej Jamaillii nad morzem. W tej chwili – wybacz mi, Sa – pragnę znaleźć się tam jako wdowa. Nigdy nie przebaczę Jathanowi Carrockowi. Żółć wzbiera we mnie na myśl, że moje dzieci muszą nosić nazwisko tego zdrajcy.

Dzień 24 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego

i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Ciemność spowiła moją duszę, ta podróż na wygnanie trwa wieczność.

Mężczyzna, którego muszę nazywać swoim mężem, każe mi lepiej zajmować się domem, a ja z trudem utrzymuję pióro w ręce. Dzieci nieustannie płaczą, kłócą się i skarżą, moja służąca zaś nie robi nic, żeby je zabawić. Z każdym dniem coraz bardziej mnie lekceważy. Gdybym miała dość sił, wymierzyłabym jej policzek i starła z twarzy ten grymas niezadowolenia. Mimo że jestem w ciąży, pozwala dzieciom szarpać mnie i domagać się mojej uwagi. Wszyscy

wiedzą, że kobieta w moim stanie powinna mieć spokój. Wczorajszego popołudnia, gdy usiłowałam odpocząć, zostawiła obok mnie drzemiące dzieci, a sama wyszła poplirtować z jakimś prostym żeglarzem. Obudził mnie płacz Narissy, musiałam wstać i śpiewać jej, dopóki się nie uspokoiła. Skarzy się na ból brzucha i gardła. Gdy tylko ją uciszyłam, przebudzili się Petrus i Carlmin i wdali w jakąś chłopięcą sprzeczkę, która całkowicie odebrała mi chęć do życia. Zanim niania wróciła, byłam wyczerpana i na skraju hysterii. Gdy zbeształam ją za zaniedbywanie obowiązków, zuchwale odparła, że jej matka wychowała dziewięcioro dzieci bez pomocy służby. Jakbym pragnęła takiej pospolitej harówki! Gdyby był tu ktoś, kto mógłby przejąć jej obowiązki, natychmiast bym ją odesłała.

A gdzie w tym wszystkim jest lord Carrock? Na pokładzie, dyskutuje z tymi samymi arystokratami, którzy przyczynili się do tego, że popadł w niełaskę. Jedzenie staje się coraz gorsze, a woda ma obrzydliwy smak, ale nasz tchórzliwy kapitan nie dobije do brzegu, żeby poszukać lepszej. Ów żeglarz powiedział mojej służącej, że Przeklęty Brzeg zasłużył na swoją nazwę i że nieszczęścia spadają na tych, którzy tam przybijają, podobnie jak spadły na tych, którzy niegdyś tam żyli. Czy i kapitan Triops wierzy w takie bezsensowne przesady?

Dzień 27 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego

i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Miota nami sztorm. Statek śmierdzi wymiocinami nieszczęśliwych mieszkańców jego trzewi. Nieustanne kołysanie miesza cuchnącą wodę w zęzie,

więc musimy wachać ten smród. Kapitan nie pozwala nam wychodzić na pokład. Powietrze tu, na dole, jest wilgotne i gęste, a z belek kapie na nas woda. Musiałam umrzeć i wiodę teraz za karę jakieś barbarzyńskie życie pozagrobowe.

Pomimo wilgoci ledwie starcza wody do picia, a na pranie nie ma jej w ogóle. Ubrania i pościel zabrudzone wymiocinami trzeba płukać w wodzie morskiej, po czym są sztywne i pokryte solą. Mała Narissa jest najbardziej nieszczęsnym z dzieci. Przestała wymiotować, ale niemal się nie rusza ze swojego siennika, biedactwo. Proszę, Sa, niech to okropne kołysanie i chlupotanie wreszcie się skończy.

Dzień 29 miesiąca ryby 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Moje dziecko nie żyje. Narissa, moja jedyna córka, zmarła. Sa, miej dla mnie litość i wymierz sprawiedliwość zdrazieckiemu lordowi Jathanowi Carrockowi, gdyż zło, którego się dopuścił, jest przyczyną całej mojej niedoli! Owinęli moją dziewczynkę w płótno i wrzucili ją oraz jeszcze dwoje innych dzieci do wody,

a żeglarze oderwali się od swoich zajęć, żeby popatrzeć, jak odchodzą. Myślę, że byłam wtedy trochę niespełna rozumu. Lord Carrock przytrzymał mnie w ramionach, gdy próbowałam skoczyć za nią do morza. Walczyłam z nim, ale okazał się dla mnie zbyt silny. Pozostałam w pułapce tego życia, na znoszenie którego skazała mnie jego zdrada.

Dzień 7 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego

i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Moje dziecko nadal jest martwe. Ach, cóż to za głupia myśl, a mimo to jej śmierć nadal wydaje mi się niemożliwa. Narisso, Narisso, nie mogłaś odejść na zawsze. To musi być jakiś okropny sen, z którego się obudzę!

Dzisiaj, gdy siedziałam i płakałam, mąż wcisnął mi ten notatnik

i powiedział: „Napisz wiersz, to ci przyniesie ulgę. Schroń się w swojej sztuce,

dopóki nie poczujesz się lepiej. Rób cokolwiek, tylko przestań płakać!” Tak

jakby proponował wrzeszczącemu dziecku słodki smoczek. Jakby sztuka

odrywała człowieka od życia, nie zaś pozwalała się w nim głębiej zanurzyć!

Jathan robił mi wyrzuty z powodu mojego żalu, mówiąc, że ta jawnie

okazywana żałoba straszy naszych synów i zagraża dziecku w moim łonie.

Jakby go to naprawdę obchodziło! Gdyby troszczył się o nas jako mąż i ojciec,

nigdy nie zdradziłby naszego drogiego Satrapy i nie skazałby nas na taki los.

Ale żeby przestał mieć taką gniewną minę, usiądę tutaj i popiszę jakiś czas,

jak na dobrą żonę przystało.

Dwunastu pasażerów i dwóch członków załogi zmarło na dyzenterię. Ze stu

szesnastu osób, które rozpoczęły tę podróż, zostało dziewięćdziesiąt dziewięć.

Pogoda się poprawiła, ale ciepłe promienie słońca na pokładzie jedynie kpią sobie z mojego smutku. Mgła unosi się nad morzem, a na zachodzie niewyraźnie widać odległe góry.

*Dzień 18 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego
i prześwietnego Satrapy Esklepiusa*

Nie mam nastroju na pisanie, ale nie ma nic innego, co zajęłoby mój udręczony umysł. Ja, która kiedyś tworzyłam najbardziej błyskotliwą prozę i najwznioślejszą poezję, teraz z mozołem zapełniam stronicę słowo po słowie. Parę dni temu dotarliśmy do ujścia rzeki; nie pamiętam daty, w takim byłam pogrążona smutku. Gdy je dostrzegliśmy, wszyscy mężczyźni wydali okrzyk radości. Jedni mówili o złocie, inni o legendarnych miastach, które będzie można splądrować, jeszcze inni o czekających na nas dziewiczych lasach i ziemi uprawnej. Myślałam, że oznacza to koniec naszej podróży, ale ona ciągnie się nadal.

Początkowo przyływ pomagał nam płynąć w górę rzeki. Teraz załoga musi ciężko pracować wiosłami, żeby statek przesunął się naprzód o jedną długość.

Więźniowie zostali oswobodzeni z kajdan i wykorzystani jako wiosłarze małych łodzi. Płyną w górę rzeki, osadzają kotwy i ciągną nas pod prąd. Wieczorem stajemy na kotwicy i wsłuchujemy się w szum silnego nurtu i krzyki niewidocznych stworzeń w dżungli. Z każdym dniem krajobraz staje się coraz bardziej fantastyczny i coraz groźniejszy. Drzewa na brzegach rzeki są dwa razy wyższe niż nasz maszt, a te, które rosną dalej, jeszcze potężniejsze. Gdy koryto się zwęża, rzucają na nas głębokie cienie. Przed naszym wzrokiem rozciąga się niemal nieprzenikniona ściana roślinności. Poszukiwania przyjaznego brzegu wydają się głupotą. Nie widzę tu żadnych śladów bytności człowieka. Jedynymi stworzeniami są jaskrawo ubarwione ptaki, wielkie jaszczurki, które wygrzewają się na słońcu w korzeniach drzew nieopodal wody, i coś, co popiskuje i przemyka wierzchołkami drzew. W ogóle nie ma tu soczystych pastwisk czy twardego gruntu, a jedynie błotniste brzegi i wybujała roślinność. Ogromne drzewa wbijają się w rzekę korzeniami jak pale, przystrojone pnączami ciągniętymi przez kredowobiałą wodę. Część ma kwiaty, które jaśnieją nawet w nocy. Zwisają one, mięsiste i grube, a wiatr niesie ich słodki, zmysłowy zapach. Dokuczają nam żądłące owady, wiosłarze dostają bolesnej wysypki. Woda w rzece nie nadaje się do picia; co gorsza, rozpuszcza zarówno ludzkie ciało, jak i drewno, rozmiękcza wiosła i powodując owrzodzenia. Gdy odstawi się ją w wiadrze, górna warstwa staje się zdatna do picia, ale osad szybko dziurawi dno. Ci, którzy ją piją, skarżą się na bóle głowy i szalone sny. Jeden z przestępców zachwycił się „pięknymi węzami”, po czym rzucił się przez burtę. Dwóch członków załogi zakuto w kajdany, ponieważ wygadywali

niestworzone rzeczy.

Nie widać końca tej okropnej podróży. Straciliśmy z oczu dwa pozostałe statki. Kapitan Triops ma nas wysadzić w bezpiecznym miejscu, które pozwala się osiedlić i uprawiać rolę. Z każdym dniem nadzieja Towarzystwa na znalezienie rozległych, słonecznych pastwisk i łagodnych wzgórz staje się jednak coraz mniejsza. Kapitan mówi, że ta rzeczna woda szkodzi kadłubowi. Chce nas wysadzić na moczarach, twierdząc, że drzewa na brzegu mogą przesłaniać wyżej położone ziemie i rozległe lasy. Nasi mężczyźni sprzeciwiają się temu, często rozwijają Kartę, którą nam dał Satrapa, i kładą nacisk na to, co nam obiecano. On ripostuje, pokazując rozkazy, które otrzymał od Esklepiusa. Mówią one o punktach orientacyjnych, które nie istnieją, szlakach żeglownych, które są płytkie i kamieniste, oraz miastach, w których rozpanoszyła się dżungla. Przekładu dokonali kapłani Sa, a oni nie mogli kłamać. Ale coś tu jest bardzo nie w porządku.

Cały statek się zamartwia. Często wybuchają kłótnie, załoga burzy się po cichu przeciwko kapitanowi. Jestem strasznie nerwowa, tak że łatwo zbiera mi się na płacz. Petrus ma koszmary senne, a Carlmin, dziecko zawsze milczące, niemal w ogóle przestał się odzywać.

Och, piękna Jamaillio, moje miasto rodzinne, czy jeszcze kiedyś ujrzę twoje wzgórza o łagodnych zboczach i pełne lekkości iglice? Matko, ojcze, czy

opłakujecie mnie jako straconą na zawsze?

A tą wielką plamą jest Petrus, który wdrapując mi się na kolana, trąca mnie i mówi, że jest znudzony. Ze służącej prawie nie mam pożytku. Niewiele robi, żeby zasłużyć na jedzenie, które pochłania, po czym wymyka się, by włóczyć się po statku jak kotka w czasie rui. Wczoraj oświadczyłam jej, że jeśli z tych jej niemoralnych namiętności będzie dziecko, wyrzucę ją. Ośmieliła się powiedzieć, że to jej nie obchodzi, ponieważ dni jej służby u mnie są policzone. Czy ta głupia latawica zapomniała, że jest związana z nami umową na następne pięć lat?

Dzień 22 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego

i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Stało się to, czego się obawiałam. Przysiadłam w załomie ogromnego korzenia, moim biurkiem zaś jest skrzynia ze skromnym dobytkiem. Drzewo, które mam za plecami, średnicą dorównuje wieży. Płatanina korzeni, z których część jest tak gruba jak beczki, utrzymuje je w bagnistym gruncie. Spoczęłam na jednym z nich, żeby uchronić spódnicę przed zabrudzeniem wilgotną, porośniętą kępami trawy ziemią. Płynąc środkiem rzeki, mieliśmy przynajmniej światło słoneczne. Tutaj roślinność rzuca cień, pogrążając nas w wiecznym półmroku. Kapitan Triops porzucił nas na tych bagnach. Twierdził, że statek nabiera wody, wobec czego nie pozostaje mu nic innego, jak go rozładować i uciec z niszczącej rzeki. Gdy odmówiliśmy zejścia na ląd, doszło do przemocy i załoga usunęła nas z pokładu. Kiedy jednego z mężczyzn wyrzucono za burtę, po czym uniósł go nurt, opuściła nas chęć stawiania oporu. Zapasy, dzięki

którym mieliśmy przetrwać, zatrzymano. Jeden z mężczyzn rozpaczliwie chwycił klatkę z gołębiami pocztowymi i próbował ją wyrwać. W zamieszaniu klatka się rozpadła, a wszystkie nasze ptaki zerwały się do lotu i zniknęły.

Załoga wyrzuciła skrzynie z narzędziami, nasionami i zapasami, które miały pomóc nam założyć kolonię. Zrobili to, by zmniejszyć masę statku, a nie po to, by nam pomóc. Wiele skrzyń spadło na głęboką wodę, poza naszym zasięgiem. Mężczyźni ratowali, co się dało, z rzeczy wyrzuconych na łagodny brzeg.

Resztę pochłonęło błoto. W tym zapomnianym miejscu znajdują się teraz siedemdziesiąt dwie osoby, z których czterdzieści to silni mężczyźni.

Górują nad nami olbrzymie drzewa. Ziemia trzęsie się pod naszymi stopami jak kozuch na budynku, a w śladach stóp mężczyzn, którzy chodzą i zbierają nasz dobytek, błyskawicznie zbiera się woda.

Nurt szybko uniósł statek i wiarołomnego kapitana poza zasięg naszego wzroku. Niektórzy twierdzą, że musimy zostać tu, gdzie jesteśmy, nad rzeką, i wypatrywać pozostałych dwóch statków. Sądzą, że ich załogi nam pomogą. Ja myślę, że musimy wejść głębiej w las, znaleźć twardszy grunt i uciec przed kłuszącymi owadami. Ale jestem kobietą, która nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Mężczyźni odbywają teraz naradę, na której mają wybrać

przywódcę naszej wyprawy. Jathan Carrock zgłosił swoją kandydaturę, jako że jest najszlachetniejszego pochodzenia, ale został zakrzyczany przez pozostałych, byłych więźniów, kupców i spekulantów, którzy stwierdzili, że nazwisko jego ojca nie ma tutaj żadnego znaczenia. Kpili z niego, ponieważ wszyscy, jak się zdaje, znają tę „tajemnicę”, że w Jamaillii jesteśmy w niełasce. Nie mogłam na to patrzeć i odeszłam rozgoryczona.

Moja sytuacja jest rozpaczliwa. Nieodpowiedzialna służąca nie opuściła statku razem z nami, tylko została na pokładzie, dziwka żeglarza. Życzę jej, żeby dostała to, na co zasłużyła! Teraz Petrus i Carlmin kurczowo się mnie trzymają, skarżąc się, że buty im przemokły i że na skutek wilgoci mają poobcierane stopy. Sama nie wiem, kiedy znowu będę miała chwilę dla siebie.

Przeklinam swoją artystyczną duszę, bo gdy patrzę w górę, na padające ukośnie promienie słońca, które przedzierają się przez nachodzące na siebie warstwy konarów i liści, dostrzegam dzikie i niebezpieczne piękno tego miejsca.

Obawiam się, że gdybym się temu poddała, mogłoby się to okazać równie kuszące jak przenikliwe spojrzenie nieokrzesanego mężczyzny.

Nie wiem, skąd się biorą te myśli. Chcę tylko wrócić do domu.

Gdzieś tam, na liście nad naszymi głowami pada deszcz.

***Dzień 24 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego
i prześwieanego Satrapy Esklepiusa***

Przed świtem obudziłam się nagle, wyrwana z żywego snu o zagranicznym festiwalu ulicznym. Wyglądało to tak, jakby ziemia pod nami rozstępowała się na boki. Potem, gdy słońce stało już dość wysoko na niewidocznym niebie,

znowu poczuliśmy, jak grunt zadrżał. Trzęsienie ziemi przeszło obok nas przez Deszczowe Ostępy jak fala. Już wcześniej przeżyłam trzęsienia ziemi, ale w tym zimnym regionie drgania wydawały się silniejsze i groźniejsze. Nietrudno sobie wyobrazić, jak ten bagnisty grunt połyka nas niczym złoty karp okruch chleba. Pomimo wędrówki w głąb lądu grunt pod naszymi stopami nadal jest bagnisty i zdradziecki. Dzisiaj spotkałam się oko w oko z węzem zwisającym z gęstwiny zieleni. Jednocześnie urzekł mnie swoim pięknem i przestraszył. Jakże lekko się uniósł, przyjrząwszy mi się, i kontynuował wędrówkę po spletanych gałęziach nad moją głową. Gdybym ja potrafiła tak bez wysiłku wędrować po tej krainie!

***Dzień 27 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego
i prześwietnego Satrapy Esklepiusa***

Piszę, siedząc na drzewie jak jedna z tych jaskrawo ubarwionych papug, które dzielą ze mną gałąź. Czuję się głupio, ale jestem w radosnym nastroju, pomimo głodu, pragnienia i ogromnego zmęczenia. Być może to upojenie jest efektem ubocznym głodu.

Pięć dni mozolnie przedzieraliśmy się przez rozmiękły grunt i gęste zarośla, oddalając się od rzeki w poszukiwaniu bardziej suchego terenu. Niektórzy z naszej grupy protestowali, mówiąc, że gdy na wiosnę przybędzie obiecany statek, nie zdoła nas znaleźć. Ugryzłam się w język, ale wątpię, czy jakikolwiek statek popłynie jeszcze w górę tej rzeki.

Marsz w głąb lądu nie poprawił naszego położenia. Grunt nadal jest drżący i grząski. Po przejściu całej grupy zostają za nami błotnisty ślad i stojąca woda. Wilgoć powoduje stany zapalne stóp i gnicie mojej spódnicy. Wszystkie kobiety chodzą teraz jak flejtuchy.

Porzuciliśmy wszystko, czego nie mogliśmy unieść. Każdy – mężczyzna, kobieta i dziecko – niesie tyle, ile zdoła udźwignąć. Maluchy są zmęczone. Czuję, jak z każdym krokiem dziecko w moim łonie staje się coraz cięższe. Mężczyźni utworzyli Radę, która ma nami rządzić. Każdy z nich ma w niej jeden głos. Uważam to lekceważenie przyrodzonego porządku rzeczy za niebezpieczne, jednak wygnani arystokraci w żaden sposób nie są w stanie dojść swoich praw do władzy. Jathan powiedział mi na osobności, że lepiej będzie, jeśli się na to zgodzimy, bo wkrótce Towarzystwo zrozumie, że prości rolnicy, kieszonkowcy i awanturnicy nie nadają się do rządzenia. Chwilowo przestrzegamy ustalanych przez nich zasad. Rada połączyła kurczące się zapasy żywności. Codziennie wydziela nam się jej odrobinę. Rada mówi, że wszyscy mężczyźni będą tak samo pracować. I tak Jathan musi pełnić w nocy wartę z pozostałymi, jakby był prostym żołnierzem. Mężczyźni stoją na straży po dwóch, ponieważ jedna osoba łatwiej ulega dziwnemu obłędowi, który czai się

w tym miejscu. Niewiele o tym mówimy, ale wszyscy mają dziwne sny,
a niektórzy członkowie Towarzystwa zdają się błądzić daleko myślami.

Mężczyźni uważają, że to wina wody. Mówi się o wysłaniu zwiadowców, żeby
znaleźli dobre, suche miejsce, w którym moglibyśmy się osiedlić.

Nie wierzę w powodzenie tych śmiałych planów. To dzikie miejsce za nic
ma nasze zasady i naszą Radę.

Niewiele tu znaleźliśmy rzeczy, które nadawałyby się do jedzenia.

Roślinność jest dziwna, a jedyne życie zwierzęce, które zaobserwowaliśmy,
toczy się w wyższych partiach drzew. Mimo to w tym dzikim i skłębionym
bezlądzie nadal można, jeśli się tylko chce, dostrzec piękno. Światło słoneczne,
które dociera do nas przez baldachim drzew, jest łagodne i cętkowane. Oświetla
pierzaste mchy zwieszające się z pnączy. Raz je przeklinam, gdy z trudem
przedzieramy się przez te zwisające sieci, a po chwili widzę w nich
ciemnozielone koronki. Wczoraj, pomimo mojego zmęczenia i zniecierpliwienia
Jathana, przystanęłam, żeby nacieszyć się pięknem kwitnącego pnącza. Gdy
przyjrzałam mu się bliżej, zauważyłam, że w każdym przypominającym trąbkę
kwiecie znajduje się odrobina wody deszczowej osłodzonej nektarem. Sa,
wybacz mi, że ja i moje dzieci porządnie napiliśmy się z wielu tych kwiatów,
zanim powiedziałam innym o swoim odkryciu. Znaleźliśmy też grzyby, które
rosną jak półki na pniach drzew, i pnącze o czerwonych owocach. To jednak za

mało.

To dzięki mnie śpimy dzisiaj w suchym miejscu. Drżałam na samą myśl o spędzeniu kolejnej nocy na wilgotnej ziemi, o tym, że przebudzę się przemoczona i ze swędzącą skórą albo skulona na naszym dobytku, który powoli zapada się w błotnisty grunt. Tego wieczoru, gdy cienie zaczynały się pogłębiać, zauważyłam, że z niektórych konarów drzew zwisają niczym kołyszące się portmonetki ptasie gniazda. Aż za dobrze wiem, jak zręcznie Petrus potrafi się wspinać po meblach czy nawet kotarach. Wybrawszy drzewo z kilkoma grubymi konarami rosnącymi niemal na jednym poziomie, podpuściłam syna, pytając, czy ich dosięgnie. Chwycił się pnączy, które zwisały z drzewa, a jego małe stopy znalazły oparcie w twardej korze. Wkrótce siedział wysoko nad nami na bardzo grubej gałęzi, machając nogami i śmiejąc się, gdy się na niego gapiliśmy.

Zaproponowałam Jathanowi, żeby poszedł w ślady syna i żeby zabrał ze sobą adamaszkowe zasłony, które przydźwigałam aż do tego miejsca. Inni szybko przejrżeli mój plan. Z gęstych drzew zwisają teraz niczym jaskrawe owoce pasy tkanin różnego rodzaju. Jedni śpią na grubszych gałęziach lub w rozwidleniach konarów, inni w hamakach. To niebezpieczny sposób spania, ale przynajmniej jest sucho.

Wszyscy mnie chwalili. „Moja żona zawsze była inteligentna” – stwierdził Jathan, jak gdyby chciał odebrać mi zasługę, więc przypomniałam mu: „Mam własne nazwisko. Na długo, zanim stałam się lady Carrock, byłam Carillion Waljin! Niektóre z moich najsłynniejszych dzieł artystycznych, *Zawieszona*

misy i Unoszące się latarnie, wymagały takiej właśnie znajomości równowagi i punktów podparcia! Różnica dotyczy skali, nie własności”. Na to kilka kobiet grupy wydało stłumiony okrzyk, uznając mnie za samochwałę, ale lady Duparge wykrzyknęła: „Ma rację! Zawsze podziwiałam twórczość lady Carrock”.

Wtedy jakiś prostak był na tyle śmiały, że dodał: „Okaze się równie inteligentna jako żona kupca Carrocka, bo tutaj nie będzie żadnych lordów i dam”.

Myśl ta podziałała na mnie otężeźwiająco, poza tym obawiam się, że on ma rację. Urodzenie i wychowanie mają tutaj niewielkie znaczenie. Już przyznali prawo głosu pierwszym lepszym mężczyznom, gorzej wykształconym od lady Duparge czy ode mnie. Więcej do powiedzenia co do naszych planów ma jakiś rolnik niż ja.

A co mruknał do mnie mój mąż? „Przyniosłaś mi wstyd, zwracając na siebie uwagę. Jakaż to próżność chełpić się swoimi «artystycznymi osiągnięciami». Zadbaj, żeby dzieciom niczego nie brakowało, zamiast się przechwalać”. W taki oto sposób pokazał mi, gdzie jest moje miejsce.

Co się z nami stanie? Co z tego, że śpimy w suchym miejscu, skoro brzuchy mamy puste, a gardła suche? Tak bardzo mi żal dziecka w moim łonie. Wszyscy mężczyźni krzyczeli do siebie „Uważaj!”, gdy robili dźwig i używali płachty materiału, żeby podnieść mnie na tę grzędę. A jednak nawet najbaczniejsza

uwaga nie uchroni tego dziecka przed dziczą, w której się urodzi. Nadal brakuje mi mojej Narissy, lecz myślę, że sposób, w jaki dokonała żywota, był łaskawszy niż to, co ten dziwny las może mieć w zanadrzu dla nas.

Dzień 29 miesiąca pługa 14 rok panowania najszlachetniejszego

i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Dziś wieczorem znowu zjadłam jaszczurkę. Wstyd mi się do tego przyznać.

Za pierwszym razem zrobiłam to, myśląc niewiele więcej niż kot rzucający się na ptaka. Gdy odpoczywaliśmy, zauważyłam na pierzastym liściu paproci małe stworzenie. Było zielone jak klejnot i nieruchome. Zdradziły je jedynie błysk jasnego oka i ledwo dostrzegalny puls na gardle. Rzuciłam się płynnie jak wąż. Złapałam je i w mgnieniu oka przytknęłam miękki brzuch do ust. Wgryzłam się w ciało; było gorzkie, obrzydliwe i słodkie równocześnie. Schrubałam ją, kości i całą resztę, jakby był to gotowany na parze skowronek ze stołu na bankiecie Satrapy. Później nie mogłam uwierzyć, że to zrobiłam. Spodziewałam się, że będę się źle czuła, ale tak nie było. Niemniej jednak byłam zbyt zawstydzona, żeby powiedzieć komukolwiek, co zrobiłam. Takie pożywienie wydaje się niestosowne dla cywilizowanego człowieka, nie mówiąc już o sposobie, w jaki je zjadłam. Powiedziałam sobie, że tego wymagało rozwijające się we mnie dziecko, że było to chwilowe odchylenie od normy spowodowane dręczącym głodem. Postanowiłam więcej tego nie robić i wyrzuciłam to z głowy.

Ale dzisiaj wieczorem znowu to robiłam. Było to smukłe, szare stworzenie w kolorze drzewa. Spostrzegło szybki jak błyskawica ruch mojej ręki i skryło się w zagłębieniu kory, lecz wyciągnęłam je stamtąd za ogon. Trzymałam je

mocno między kciukiem a palcem. Wyrывało się jak szalone, po czym zamarło, wiedząc, że to nic nie da. Przyglądałam mu się uważnie, myśląc, że jeśli tak zrobię, to zdołam je wypuścić. Było piękne, miało błyszczące ślepia, małe pazurki i cienki ogon. Grzbiet miało szary i pobrużdżony jak kora drzew, ale miękki brzusek koloru śmietanki. Mięka krzywizna gardła była niebieska, a w dół brzucha biegł bladoniebieski pas. Łuski na brzuchu były małe i gładkie, gdy przeciągnęłam po nich językiem. Czułam łomotanie jego małego serca i smród strachu, gdy przebierało małymi pazurkami po moich spierzchniętych ustach. To wszystko było już jakoś tak bardzo znajome. A potem zamknęłam oczy i wgryzłam się w nie, trzymając obie ręce przy ustach, żeby nie stracić ani kęsa. Miałam na dłoni małą plamę krwi. Zlizalam ją. Nikt tego nie widział. Sa, słodki Panie wszystkiego, czym ja się staję? Co skłania mnie do takiego zachowania? Uczucie głodu czy zaraźliwa dzikość tego miejsca? Sama już nie wiem. Sny, które mnie prześladują, nie są snami lady z Jamaillii. Wody ziemi parzą mi dłonie i stopy, aż po zagojeniu stają się twarde jak łupina orzecha. Boję się, jak muszą wyglądać moja twarz i włosy.

Dzień 2 miesiąca zielenienia 14 rok panowania najszlachetniejszego

i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Ostatniej nocy zmarł chłopiec. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. Dziś rano po prostu się nie obudził. Był zdrowym smykiem, mniej więcej dwunastoletnim. Na imię miał Durgan i chociaż to tylko syn kupca, odczuwam wraz z jego rodzicami głęboki smutek. Petrus często z nim chodził i wydaje się bardzo wstrząśnięty jego śmiercią. Szepnął mi, że ostatniej nocy śniło mu się, że ta kraina go pamięta. Gdy zapytałam, co ma na myśli, nie umiał mi wytłumaczyć, ale powiedział, że być może Durgan umarł, bo to miejsce go nie chce. Brzmiało to bezsensownie, ale powtarzał to z uporem, dopóki nie kiwnęłam głową i nie powiedziałam, że być może ma rację. Słodki Sa, nie pozwól, by szaleństwo ogarnęło mojego chłopca. Mnie to również przeraża. Być może to dobrze, że Petrus nie będzie już szukał towarzystwa takiego pospolitego chłopaka, chociaż Durgan uśmiechał się szeroko i był skory do śmiechu, czego wszystkim nam będzie brakowało.

Gdy tylko mężczyźni wykopali grób, wypełnił się on mętną wodą. W końcu trzeba było zabrać stamtąd matkę chłopca, a ojciec powierzył jego ciało wodzie i błotu. Gdy prosiliśmy Sa, by dał mu wieczny odpoczynek, dziecko w moim łonie kopnęło gwałtownie. Przestraszyło mnie to.

Dzień 8 miesiąca zielnienia (Tak myślę. Marthi Duparge twierdzi, że jest

9) 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Znaleźliśmy skrawek bardziej suchej ziemi i większość z nas będzie tu odpoczywać kilka dni, podczas gdy wybrana grupa mężczyzn wyruszy na poszukiwanie lepszego miejsca. Nasze schronienie jest tak naprawdę trochę

stabilniejszą wyspą na bagnach. Zauważyliśmy, że pewien rodzaj iglastych krzewów to oznaka twardszego gruntu, a tutaj rosną one dość gęsto. Są na tyle przesycone żywicą, że palą się nawet zielone. Dają gęsty, duszący dym, ale trzymają z dala kłuszące owady.

Jathan jest jednym z naszych zwiadowców. Uważałam, że ponieważ niedługo ma się urodzić nasze dziecko, powinien zostać i pomóc mi opiekować się chłopcami. Powiedział, że musi iść, żeby zdobyć pozycję przywódcy w Towarzystwie. Lord Duparge także ma wyruszyć jako zwiadowca. Ponieważ lady Duparge również jest brzemienna, Jathan stwierdził, że możemy sobie nawzajem pomagać. Taka młoda żona jak Marthi nie może być zbyt pomocna przy porodzie, ale jej towarzystwo będzie lepsze niż żadne. Wszystkie kobiety zbliżyły się, gdy głód zmusił nas do dzielenia się śmiesznie małymi zapasami dla dobra naszych dzieci.

Inna z kobiet, żona tkacza, wymyśliła sposób robienia mat z bujnych pnączy. Zaczęłam się tego uczyć, niewiele bowiem innego mogę robić, taka ociężała się stałam. Maty można wykorzystać jako sienniki, można je także ze sobą łączyć, by zrobić przenośne osłony. Pobliskie drzewa mają gładką korę, a ich gałęzie

zaczynają się bardzo wysoko, więc musimy zapewnić sobie wszelkie możliwe schronienie na ziemi. Kilka kobiet przyłączyło się do nas i zrobiło się miło, a nawet domowo, gdy siedziałyśmy wspólnie, rozmawiałyśmy i zajmowałyśmy się pracą. Mężczyźni śmiali się z nas, gdy wznosiłyśmy plecione ścianki, pytając, co takie słabe zapory mogą powstrzymać. Czułam się głupio, gdy jednak zapadła ciemność, korzystałyśmy z naszej nietrwałej chatki. Tkaczka Sewet ma piękny głos i gdy swojemu najmłodszemu dziecku śpiewała do snu starą piosenkę *Chwalcie Sa w niedoli*, łzy napłynęły mi do oczu. Mam wrażenie, że minęły wieki, odkąd ostatni raz słyszałam muzykę. Jak długo moje dzieci będą musiały żyć bez wszelkiej kultury i bez nauczycieli, o ile przeżyją bezlitosny sąd tego miejsca?

Mimo że gardzę Jathanem Carrockiem za spowodowanie naszego wygnania, dziś wieczorem tęsknię za nim.

***Dzień 12 lub 13 miesiąca zielenienia 14 rok panowania
najszlachetniejszego i prześwieczonego Satrapy Esklepiusa***

Ostatniej nocy nasz obóz ogarnęło szaleństwo. Najpierw jakaś kobieta zaczęła wykrzykiwać w ciemnościach: „Słuchajcie! Słuchajcie! Czy nikt inny nie słyszy ich śpiewu?” Mąż próbował ją uciszyć, ale wówczas jakiś mały chłopiec zawołał, że słyszy ten śpiew już od kilku nocy. Po czym dał nura w mroki, jakby wiedział, dokąd idzie. Jego matka pobiegła za nim. Wtedy owa kobieta wyrwała się mężowi i popędziła na bagno. Trzy inne ruszyły za nią, nie po to jednak, by ją sprowadzić z powrotem, lecz krzycząc: „Poczekaj, poczekaj, pójdziemy z tobą!”

Wstałam i objęłam synów, żeby nie porwało ich to szaleństwo. Osobliwa pościata zalewa w nocy tę dżunglę. Robaczki świętojańskie znamy, ale dziwnego pająka, który umieszcza w środku swojej sieci kapkę jarzącej się śliny, już nie. Małe owady wlatują prosto w nią, tak jak ćmy pędzą do płomienia latarni. Jest też zwisający mech, który świeci bladym, zimnym światłem. Nie ośmielę się okazać swoim chłopcom, jak bardzo jest to dla mnie makabryczne. Powiedziałam im, że zadrżałam z zimna i z troski o te biedne, ciemne nieszczęsnice, które zaginęły na bagnach. A jeszcze silniejszych dreszczy dostałam, gdy usłyszałam, że mały Carlmin mówi o tym, jak piękna jest dżungla w ciemnościach i jak słodko pachną kwitnące nocą kwiaty. Powiedział, że pamięta, jak piekłam kiedyś ciastka, dodając te kwiaty do smaku. W Jamaillii nigdy nie było takich kwiatów, ale gdy to rzekł, niemal przypomniałam sobie brązowe ciasteczka, miękkie pośrodku, a kruche na brzegach. Nawet pisząc te słowa, prawie przypominam sobie, jak nadawałam im kształt kwiatów, zanim usmażyłam je w gorącym, bulgoczącym tłuszczu.

Przysięgam, że nigdy nie robiłam takich ciastek.

Do południa wciąż nie ma śladu po tych, których ogarnęło nocne szaleństwo.

Poszukiwacze ruszyli za nimi, ale mokra i pokąsana przez owady grupa wróciła

niepocieszona. Dżungla ich połknęła. Kobieta pozostawiła małego chłopca, który zawodził za nią prawie cały dzień. Nikomu nie powiedziałam o muzyce, którą słyszę w snach.

*Dzień 14 lub 15 miesiąca zielenienia 14 rok panowania
najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa*

Nasi zwiadowcy jeszcze nie wrócili. Za dnia udajemy przed dziećmi, że wszystko jest w porządku, ale w nocy, gdy moi chłopcy śpią, Marthi Duparge i ja dzielimy się obawami. Z pewnością mężczyźni powinni już wrócić, choćby po to, by donieść, że nie znaleźli lepszego miejsca od tej grząskiej wyspy.

Ostatniej nocy Marthi rozplakała się i powiedziała, że Satrapa celowo posłał nas na śmierć. Byłam wstrząśnięta. Kapłani Sa przetłumaczyli starożytne zwoje, które mówiły o miastach nad tą rzeką. Mężczyźni służący Sa nie mogą kłamać.

Niewykluczone jednak, iż popełnili błąd, na nieszczęście tak poważny, że może on kosztować nas życie.

Nie ma tutaj dostatku, a jedynie dziwność, która czai się za dnia i krąży między naszymi szałasami nocą. Niemal każdej nocy jedna czy dwie osoby budzą się z krzykiem dręczone koszmarami, których nie mogą sobie przypomnieć. Młodej kobiety lekkich obyczajów nie ma już od dwóch dni. Była tanią prostytutką z ulic Jamaillii i tutaj nadal uprawiała swoją profesję, żądając jedzenia od mężczyzn, którzy korzystali z jej usług. Nie wiemy, czy odeszła, czy też została zabita przez kogoś z naszej grupy. Nie wiemy, czy pośród nas skrywa się morderca, czy też ta przerażająca kraina zażądała następnej ofiary.

My, matki, cierpimy najbardziej, ponieważ dzieci proszą nas o więcej, niż

zawierają przyznane nam skromne racje. Zapasy ze statku się skończyły.

Codziennie ruszam z synami u boku na poszukiwania żywności. Kilka dni temu natknęłam się na wzgórek poruszonej ziemi i pogrzebawszy w nim, znalazłam jajka w brązowych, cętkowanych skorupkach. Było ich niemal pięćdziesiąt i chociaż niektórzy Mężczyźni odmówili, mówiąc, że nie będą jeść jaj węża czy jaszczurki, żadna z kobiet tak nie postąpiła. Pewną podobną do lilii roślinę trudno wyrwać z płycizny, ponieważ zawsze oblewa mnie przy tym piekąca woda, a korzenie są długie i włókniste. Niemniej są na nich gruzełki, nie większe od dużych pereł, które mają przyjemnie pikantny smak. Sewet wykorzystuje same korzenie, wyplatając koszyki, a ostatnio również zgrzebną tkaninę. Przyda się. Nasze spódnice są postrzępione aż do łydek, a buty stały się cienkie jak papier. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy znalazłam te perły lilii. Kilka osób spytało, skąd wiedziałam, że są jadalne.

Nie umiałam na to odpowiedzieć. Kwiaty wydawały się znajome. Nie potrafię powiedzieć, co skłoniło mnie do tego, żeby wyrwać korzenie, ani co kazało mi zerwać perłowe gruzełki i włożyć je do ust.

Mężczyźni, którzy tu zostali, nieustannie skarżą się na trzymanie warty w nocy i podsycanie ognia, ale uważam, że w istocie rzeczy kobiety pracują

równie ciężko. W tych warunkach zapewnienie dzieciom bezpieczeństwa, wyżywienie ich i utrzymanie w czystości wymaga wysiłku. Przyznaję, że wiele nauczyłam się o wychowaniu chłopców od Chellii. W Jamaillii była praczką, a jednak tutaj została moją przyjaciółką i dzielimy mały szałas, który zbudowałyśmy dla pięciorga dzieci i nas samych. Jej mężczyzna, niejaki Ethe, również jest w grupie zwiadowczej. Mimo to Chellia zachowuje pogodną twarz i nalega, żeby trójka dzieci pomagała jej w codziennych obowiązkach. Naszych starszych chłopców wysyłamy razem, by zbierali suche drewno na ognisko. Przestrzegamy ich, żeby oddalali się tak, by zawsze słyszeć odgłosy z obozu, ale i Petrus, i Olpey skarżą się, że w pobliżu nie ma już suchego drewna. Piet i Likea, córki Chellii, doglądają Carlmina, gdy zbieramy wodę z kwiatów o kształcie trąbki i wygrzebujemy wszystkie grzyby, jakie tylko uda nam się znaleźć. Znalazłyśmy korę, z której można zrobić pikantną herbatę; pomaga ona również oszukać głód.

Jestem wdzięczna za jej towarzystwo; zarówno Marthi, jak i ja chętnie przyjmujemy pomoc Chellii, gdy nadejdzie czas rozwiązania. Jednak jej Olpey jest starszy od mojego Petrusa i namawia go do śmiałego, lekkomyślnego zachowania. Wczoraj nie było ich aż do zmierzchu, a gdy wrócili, każdy z nich miał tylko naręcze drewna. Powiedzieli, że usłyszeli odległą muzykę i poszli za nią. Jestem pewna, że zapuścili się w ten bagnisty las głębiej, niż należy. Złajałam ich obu; Petrus był onieśmielony, Olpey natomiast drwiąco zapytał, czy w takim razie ma zostać tutaj, w błocie, i zapuścić korzenie. Wstrząsnął mną sposób, w jaki zwrócił się do swojej matki. Jestem pewna, że to pod jego

wpływem Petrus ma koszmary senne, ponieważ Olpey uwielbia opowiadać przerażające historie. Aż roi się w nich od upiornych zjaw, które unoszą się jak nocne mgły, jaszczurek, które wysysają krew. Nie chcę, żeby Petrus słuchał takich zabobonnych bzdur, ale co mogę zrobić? Chłopcy muszą przynosić nam drewno, a nie mogę wysłać go samego. Wszyscy starsi chłopcy w Towarzystwie mają podobne obowiązki. Smuci mnie, gdy widzę, że Petrus, potomek dwóch znamienitych rodów, musi wykonywać taką pracę razem z dziećmi z gminu. Boję się, że zanim wrócimy do Jamaillii, zepsuje się. I dlaczego Jathan do nas nie wraca? Co się stało z naszymi mężczyznami?

Dzień 19 lub 20 miesiąca zielenienia 14 rok panowania

najszlachetniejszego i prześwieczonego Satrapy Esklepiusa

Dzisiaj do obozu weszło trzech ubłoconych mężczyzn i kobieta. Gdy usłyszałam wrzawę, serce zabiło mi żywiej, ponieważ myślałam, że to nasi mężczyźni wrócili. Zamiast tego przeżyłam wstrząs, bo okazało się, że to grupa z jednego z pozostałych statków.

Pewnego wieczoru statek dosłownie się rozpadł i kapitan, załoga oraz pasażerowie po prostu wpadli do rzeki. Nie bardzo mogli uratować zapasy. Zginęła ponad połowa osób będących na pokładzie. Z tych, którym udało się

dotrzeć do brzegu, wielu zabrało szaleństwo i w dniach następujących po katastrofie odebrali oni sobie życie lub przepadli w dziczy.

Wielu rozbitków zmarło podczas pierwszych kilku nocy, ponieważ nie udało im się znaleźć twardego gruntu. Zasłoniłam uszy, gdy opowiadali o ludziach, którzy przewracali się i dosłownie tonęli w błocie. Niektórzy budzili się bez rozumu i opowiadali z zachwytem o dziwnych snach. Jedni z nich wyzdrowieli, ale inni odeszli na bagna i nigdy więcej już ich nie widziano. Ta czwórka stanowiła przednią straż tych, którzy pozostali przy życiu. Po paru minutach zaczęli przybywać następni. Nadchodzili trójkami i czwórkami, przemoczeni, pocięci przez owady i strasznie poparzeni wskutek długiego kontaktu z rzezną wodą. Jest ich sześćdziesięcioro dwoje. Kilko to skompromitowani arystokraci, a pozostali to ludzie z gminu, którzy sądzili, że rozpoczną nowe życie. Spekulanci, którzy zainwestowali majątek w tę wyprawę w nadziei, że zarobią fortunę, wydają się najbardziej zgorzkniali.

Kapitan nie przeżył pierwszej nocy. Żeglarze, którzy ją przetrwali, są zrozpaczeni i przerażeni tym, że nagle stali się wygnańcami. Niektórzy z nich trzymają się z dala od „kolonistów”, jak nas nazywają. Inni rozumieją, zdaje się, że muszą sobie znaleźć miejsce wśród nas lub zginąć.

Część naszej grupy oddaliła się, mamrocząc, że ledwo wystarcza schronienia i jedzenia dla nas samych, ale większość chętnie się podzieliła. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że zobaczę ludzi bardziej zrozpaczonych od nas. Mam wrażenie, że wszyscy odnieśli z tego korzyść, a Marthi i ja być może największą. W ich grupie jest Ser, doświadczona akuszerka. Jest również

rzemieślnik kryjący domy strzechą, cieśla okrętowy i mężczyźni posiadający umiejętności łowieckie. Żeglarze to ludzie sprawni i krzepcy i mogą dostosować się na tyle, że staną się przydatni.

Nadal nie ma śladu po naszych mężczyznach.

***Dzień 26 miesiąca zielenienia 14 rok panowania najszlachetniejszego
i prześwietnego Satrapy Esklepiusa***

Mój czas nadszedł. Dziecko się urodziło. Nawet go nie zobaczyłam, a akuszerka już je zabrała. Marthi, Chellia i Ser zgodnie twierdzą, że urodziło się martwe, chociaż jestem pewna, że słyszałam, jak jęknęło. Byłam zmęczona i bliska omdlenia, ale z pewnością pamiętam, co usłyszałam. Moja córka krzyknęła do mnie, zanim zmarła.

Chellia mówi, że tak nie było, że dziecko urodziło się sine i nieruchome.

Zapytałam, dlaczego nie mogłam go przytulić, zanim oddali je ziemi?

Akuszerka stwierdziła, że dzięki temu mój żal będzie mniejszy. Ale błednie, ilekroć o to pytam. Marthi nie rozmawia na ten temat. Czy boi się własnego rozwiązania, czy też coś przede mną ukrywają? Dlaczego, Sa, zabrałeś mi tak okrutnie obie córki?

Jathan usłyszy o tym, gdy wróci. Być może gdyby tu był, żeby pomóc mi

w tych ostatnich ciężkich dniach, nie musiałabym się tak bardzo trudzić. Być może moja mała dziewczynka by żyła. Ale nie było go przy mnie wtedy i nie ma go przy mnie teraz. I kto dopilnuje moich chłopców, znajdzie dla nich jedzenie i zadba, żeby każdego wieczoru bezpiecznie wrócili, gdy ja muszę tu leżeć i krwawić z powodu dziecka, które nie żyje?

*Dzień 1 miesiąca ziarna 14 rok panowania najszlachetniejszego
i prześwietnego Satrapy Esklepiusa*

Wstałam z połogu. Czuję, że moje serce zostało pochowane z moim dzieckiem. Czy nosiłam je tak daleko i w takim trudzie na nic?

W obozie jest teraz tak tłoczno, że trudno przejść między prowizorycznymi schronieniami. Carlmin, rozdzielony ze mną na czas połogu, obecnie chodzi za mną jak chudy, mały cień. Petrus bardzo zaprzyjaźnił się z Olpeyem i w ogóle nie zważa na moje słowa. Gdy każę mu być blisko obozu, przeciwstawia mi się i zapuszcza jeszcze głębiej w bagna. Chellia mówi, żebym dała mu spokój.

Chłopcy są pupilkami obozu, gdyż znaleźli zwisające kiście kwaśnych jagód.

Małeńkie owoce mają żółty kolor i są kwaśne jak żółć, ale nawet takie obrzydliwe pożywienie jest mile widziane przez ludzi tak głodnych jak my.

Doprowadza mnie jednak do szału to, że wszyscy zachęcają mojego syna do nieposłuszeństwa wobec mnie. Czy nie słyszeli szalonych historii, które chłopcy opowiadają o dziwnej, dobiegającej z oddali muzyce? Petrus i Olpey

przechwalają się, że dotrą do jej źródła, a moje matczyne serce wie, że to, co wabi ich coraz dalej w tę niezdrową dżunglę, nie jest ani naturalne, ani dobre.

Z każdym dniem sytuacja w obozie się pogarsza. Ścieżki wydeptano tak, że

pełne są błota, stają się coraz szersze i bardziej grząskie. Zbyt wielu ludzi nie robi nic, żeby poprawić nasz los. Żyją dniem dzisiejszym, nie martwiąc się o jutro, i liczą, że my dostarczymy im pożywienia. Jedni siedzą i wpatrują się w jakiś punkt, inni modlą się i płaczą. Czy spodziewają się, że Sa zstąpi tu osobiście i ich uratuje? Ostatniej nocy znaleziono martwą rodzinę, całą piątkę, ściśniętą u stóp drzewa pod nędzną zasłoną z mat. Nic nie wskazuje na to, co ich zabiło. Nikt nie mówi o tym, czego wszyscy się boimy: że podstępne szaleństwo jest w wodzie, a może wydobywa się z samej ziemi i wkrada w nasze sny jako nieziemskie muzyka. Budzę się ze snu o dziwnym mieście, myśląc, że jestem kimś innym, gdzie indziej. A gdy otwieram oczy na to błoto, owady i głód, czasami pragnę zamknąć je znowu i po prostu wrócić do mojego snu. Czy to właśnie spotkało tę nieszczęsną rodzinę? Gdy ich odkryliśmy, wszyscy mieli szeroko otwarte oczy i w coś się wpatrywali. Wrzuciliśmy ich ciała do rzeki. Rada podzieliła ich skromny dobytek, ale wiele osób narzekało, że rozdała pozostawione

mienie między swoich przyjaciół, a nie najbardziej potrzebujących. Rośnie niezadowolenie z tej Rady kilku, którzy narzucają zasady nam wszystkim.

Niepewne schronienie zaczyna nas zawodzić. Nawet pod śmiesznie małym

ciężarem plecionych szafasów delikatna darń zamienia się w błoto. Kiedyś zwykłam pogardliwie wypowiadać się o tych, którzy żyją w brudzie i nędzy, że „żyją jak zwierzęta”. Ale w istocie zwierzęta tej dżungli żyją godniej niż my. Zazdroszczę pająkom ich sieci rozpiętych w górze w snopach słonecznego światła. Zazdroszczę ptakom, których tkane gniazda zwisają nam nad głowami, z dala od błota i węży. Zazdroszczę nawet bagiennym królikom o płaskich łapach, jak nasi myśliwi nazywają tę drobną zwierzynę łowną, które tak zręcznie drepcą po zbitych trzcinach i unoszących się na płyciznach liściach. Za dnia ziemia wciąga moje stopy przy każdym kroku. Nocą nasze sienniki toną w niej i budzimy się przemoczeni. Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie, ale inni mówią tylko: „Poczekajmy. Nasi zwiadowcy wrócą i zaprowadzą nas w lepsze miejsce”.

Myślę, że jedynym lepszym miejscem, jakie znaleźli, jest łono Sa. Wszyscy możemy się tam znaleźć. Czy ujrzę jeszcze kiedyś kojącą Jamaillię, czy przejdę się kiedyś po ogrodzie przyjemnych roślin, czy jeszcze kiedyś najem się do syta i napiję, nie martwiąc się o jutro? Rozumiem pokusę, by oderwać się od życia, drzemiąc godzinami i śniąc o lepszym miejscu. Jedynie moi synowie trzymają mnie na tym świecie.

***Dzień 16 miesiąca ziarna 14 rok panowania najszlachetniejszego
i prześwietnego Satrapy Esklepiusa***

Czego nie dostrzega świadomy umysł, serce już wie. We śnie pędziłam jak wiatr przez Deszczowe Ostępy, szybując tuż nad rozmiękłą ziemią, a później przemykając między kołyszącymi się gałęziami drzew. Nieskrępowana błotem

i żrącą wodą, dostrzegłam nagle złożone piękno naszego otoczenia. Złapałam równowagę, chwiejąc się jak ptak, na pierzastym liściu paproci. Jakiś duch Deszczowych Ostępów szepnął do mnie: „Postaraj się to opanować, a wtedy to opanuje ciebie. Stań się częścią tego i żyj”.

Nie wiem, czy mój świadomy umysł w cokolwiek z tego wierzy. Serce wyrywa mi się do białych iglic Jamaillii, do spokojnych, błękitnych wód jej portu, do jej cienistych alejek i słonecznych placów. Łaknę muzyki i sztuki, wina i poezji, jedzenia, którego nie wygrzebuję na czworakach w gęstwinie dżungli. Łaknę piękna zamiast brudu i nędzy.

Dzisiaj nie szukałam żywności ani wody. Zamiast tego poświęciłam dwie strony swojego dziennika, żeby naszkicować mieszkania odpowiednie dla tego bezlitosnego miejsca. Zaprojektowałam również unoszące się przejścia łączące nasze domy. Będzie to wymagało wycięcia paru drzew i ociosania bali. Gdy to pokazałam, niektórzy śmiali się ze mnie, mówiąc, że to zbyt wielkie zadanie dla tak małej grupy ludzi. Inni zwracali uwagę, że nasze narzędzia szybko tutaj korodują. Odparłam, że musimy użyć ich teraz, żeby zbudować schronienia, które nas nie zawiodą, gdy narzędzia już znikną.

Niektórzy z zainteresowaniem przyglądali się moim szkicom, ale potem

wzruszali ramionami i pytali, po co pracować tak ciężko, skoro zwiadowcy mogą wrócić lada dzień i poprowadzić nas do lepszego miejsca. Nie możemy, mówili, żyć na tym bagnie wiecznie. Odparłam, że mają rację i że jeśli się nie ruszymy, umrzemy tutaj. Nie chcąc kusić losu, nie wypowiedziałam swoich najczarniejszych obaw – że pod tymi drzewami na wiele mil wokoło nie ma nic poza bagnem i że nasi zwiadowcy nigdy nie wrócą.

Większość ludzi odeszła po mojej szyderczej uwadze, ale dwóch mężczyzn zostało i zgromiło mnie, pytając, jaka przyzwoita kobieta z Jamaillii podnosiłaby głos na mężczyzn. Należeli do pospólstwa, podobnie jak ich żony, które stały za nimi i kiwały głowami. Nie mogłam jednak powstrzymać łez, a i głos mi drżał, gdy pytałam, jacy z nich mężczyźni, skoro wysyłają moich chłopców do dżungli na poszukiwanie żywności, a sami siedzą w kucki i czekają, aż ktoś rozwiąże ich problemy. Unieśli ręce w geście oznaczającym bezwstydną kobietę, jakbym była ulicznicą. A potem wszyscy odeszli. Nie obchodzi mnie to. Udowodnię im, że się mylą.

***Dzień 24 miesiąca ziarna 14 rok panowania najszlachetniejszego
i prześwietnego Satrapy Esklepiusa***

Jestem rozdarta między uniesieniem a żalem. Moje dziecko nie żyje, Jathana ciągle nie ma, a mimo to mam dzisiaj większe poczucie sukcesu niż po jakichkolwiek pochwałach moich dzieł sztuki. Chellia, Marthi i mały Carlmin trudzili się razem ze mną. Tkaczka Sewet zaproponowała ulepszenia moich projektów. Piet i Likea szukały za mnie pożywienia. Drobne rączki Carlmina zdumiały mnie swoją zręcznością, a on sam podniósł mnie na duchu swą

determinacją, by mi pomóc. Przy tym zadaniu udowodnił, że jest pokrewną mi duszą.

W dużym szałasie zrobiliśmy podłogę z przeplecionych mat osadzonych na podłożu z trzciny i cienkich gałęzi. To rozkłada ciężar, więc unosimy się na gąbczastym gruncie tak łagodnie jak splątane trzciny na pobliskich wodach. Gdy inne schronienia codziennie toną i trzeba je przesuwać, nasze już od czterech dni stoi w jednym miejscu. Dzisiaj, zadowoleni, że nasz dom jest trwały, zaczęliśmy wprowadzać kolejne ulepszenia. Nie mając narzędzi, złamaliśmy małe drzewka i odarliśmy je z gałęzi. Kawałki ich pni, połączone korzeniami lili, tworzą poziomą drabinę, szkielet przejść wokół naszego szałasu. Warstwy plecionki, które mamy dodać jutro, jeszcze bardziej wzmocnią te liche przejścia. W moim przekonaniu cała sztuka polega na tym, żeby rozłożyć ciężar ludzi na możliwie największą powierzchnię, podobnie jak to robią bagienne króliki dzięki swoim płaskim łapom. W najwilgotniejszej części, za naszym szałasem, zawiesiliśmy przejście jak pajęczą sieć na drzewach. To trudne, ponieważ pnie mają wielki obwód, a kora jest gładka. Gdy staraliśmy się je podwiesić, dwa razy wszystko się zerwało, a część ludzi, którzy przyglądali się naszym wysiłkom, szydziła z nas, ale za trzecim razem udało się nam. Nie tylko kilkakrotnie owinęliśmy

drzewa dla bezpieczeństwa, ale udało nam się też stanąć na naszym kołyszącym się moście i popatrzeć ponad resztą osady. Nie był to rozległy widok, bo znajdowaliśmy się na wysokości pasa nad ziemią, ale mimo wszystko pozwoliło mi to spojrzeć z perspektywy na naszą niedolę. Przestrzeń marnuje się z powodu chaotycznie biegnących ścieżek i przypadkowego usytuowania szalásów. Jeden z żeglarzy podszedł, mocno się kołysząc i żując gałązkę, by sprawdzić, jak nam poszło. Po czym miał czelność zmienić połowę naszych węzłów. „Będą trzymać, pani” – powiedział mi. – „Ale niezbyt długo i nie pod dużym obciążeniem. Musimy lepiej to przymocować. Proszę popatrzeć w górę. Tam musimy się dostać i przywiązać to do tych wszystkich gałęzi”.

Spojrzałam na przyprawiającą o zawrót głowy wysokość, na której zaczynały wyrastać gałęzie, i powiedziałam mu, że bez skrzydeł nikomu z nas nie uda się tam dostać. Uśmiechnął się i rzekł: „Znam człowieka, któremu mogłoby się to udać. Gdyby ktokolwiek myślał, że warto”. Po czym wykonał jeden z tych śmiesznych żeglarskich ukłonów i odszedł.

Musimy szybko coś zrobić, ponieważ ta drżąca wysepka z każdym dniem staje się mniejsza. Za dużo się po niej chodzi i w naszych śladach stoi już woda. Muszę być szalona, żeby próbować; jestem artystką, nie inżynierem czy budowniczym. Gdyby jednak nikt inny się nie zgłosił, skłonna jestem podjąć ryzyko. Jeśli mi się nie uda, to przynajmniej przegram ze świadomością, że próbowałam.

Dzień 5 lub 6 miesiąca modłów 14 rok panowania najszlachetniejszego i prześwietnego Satrapy Esklepiusa

Dzisiaj zerwał się jeden z moich mostów. Trzech mężczyzn wpadło do bagna, a jeden z nich złamał nogę. O swój niefortunny wypadek obwinił mnie i oświadczył, że do tego właśnie dochodzi, gdy kobiety próbują wykorzystać podczas budowy doświadczenia z szydełkowania. Jego żona przyłączyła się do oskarżeń. Nie cofnęłam się przed nimi. Powiedziałam, że nie wymagam, aby korzystał z moich przejść, i że każdy, kto nie pomagał przy ich budowie, a mimo to ośmielił się po nich chodzić, zasłużył na los, jaki zesłał mu Sa za jego lenistwo i niewdzięczność.

Ktoś wrzasnął: „Błuznierstwo”, ale ktoś inny krzyknął: „Prawda jest mieczem Sa”. Czułam, że stanięto w mojej obronie. Pracowników było już na tyle dużo, że można było podzielić ich na dwie grupy. Sewet pokieruje drugą i biada mężczyźnie, który będzie szydził z mojego wyboru. Jej umiejętności tkackie mówią same za siebie.

Jutro mamy nadzieję zacząć wznosić pierwsze podpory pod moje Wielkie Platformy na drzewach. Może się to okazać najbardziej spektakularną porażką. Bale są cięższe i nie mamy prawdziwej liny do ich wciągania, a jedynie sznury ze splecionych korzeni. Żeglarz zaprojektował dla nas kilka topornych wielokrążków. On i mój Petrus wspięli się po gładkim pniu do miejsca,

z którego rozchodzą się ogromne konary. Po drodze wbijali haki, ale mimo to serce mi drżało, gdy patrzyłam, jak wysoko wchodzą. Żeglarz Retyo mówi, że jego wielokrążki sprawią, iż nasza siła wystarczy do każdego zadania. Uwierzę, jak zobaczę. Boję się, że doprowadzi to tylko do tego, iż nasze plecione liny jeszcze bardziej się postrzępią. Powinnam spać, a mimo to leżę tutaj, zastanawiając się, czy mamy dość liny, żeby podciągnąć te belki. Czy nasze drabinki sznurowe wytrzymają codzienne użytkowanie przez pracujących? Na co ja się porwałam? Gdyby któryś z nich spadł z takiej wysokości, z całą pewnością by zginął. Jednak lato się skończy, a gdy nadejdą zimowe deszcze, musimy mieć suche schronienie.

Dzień 12 lub 13 miesiąca modłów 14 rok Satrapy Esklepiusa

Porażka za porażką. Z trudem znajduję siły, żeby o tym pisać. Retyo mówi, że za sukces musimy uznać to, iż nikt nie odniósł obrażeń. Gdy spadła nasza pierwsza platforma, nie tyle rozleciała się na kawałki, ile zatonęła w rozmięklej ziemi. Żeglarz z humorem stwierdził, że to dowód wytrzymałości platformy. To zaradny młody człowiek, inteligentny pomimo braku wykształcenia. Zapytałam go dzisiaj, czy jest rozgoryczony tym, że zamiast pozwolić mu żeglować, Los skazał go na budowanie kolonii w Deszczowych Ostępach. Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. Zanim został żeglarzem, był druciarzem i rolnikiem, więc, jak powiedział, nie ma pojęcia, jaki los mu się należy. Czuje się uprawniony brać każdy i obracać go na swoją korzyść. Chciałabym mieć jego charakter.

Próżniacy z Towarzystwa gapią się i szydzą z nas. Ich sceptycyzm podkopuje moje siły tak samo, jak kredowobiała woda powoduje owrzodzenie

skóry. Ci, którzy najbardziej narzekają na naszą sytuację, najmniej robią, żeby ją poprawić. „Poczekajmy” – mówią. – „Poczekajmy na powrót zwiadowców, którzy zaprowadzą nas w lepsze miejsce”. Jednak nasza sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Chodzimy teraz właściwie w łachmanach, chociaż Sewet nieustannie eksperymentuje z różnymi włóknami, które wydostaje z pnączy i wrywa z miękiszu trzciny. Ledwo znajdujemy tyle jedzenia, żeby zaspokoić nasze codzienne potrzeby, i nie mamy żadnych zapasów na zimę. Próźniacy jedzą tylko samo co ci, którzy dzień w dzień pracują. Moi chłopcy trują się z nami każdego dnia, a mimo to otrzymują takie same racje jak ci, którzy się wylegują i uważają nad swoim losem. Petrus ma na karku rozszerzającą się wysypkę. Jestem pewna, że to z powodu kiepskiej diety i ciągłej wilgoci.

Chellia musi odczuwać to samo. Jej małe córeczki, Piet i Likea, to sama skóra i kości, ponieważ w przeciwieństwie do naszych chłopców, którzy jedzą w trakcie szukania pożywienia, muszą zadowolić się tym, co otrzymają pod koniec dnia. Olpey stał się ostatnio tak dziwny, że przeraża to nawet Petrusa. Petrus nadal codziennie się z nim wyprawia, ale często wraca do domu na długo przed przyjacielem. Tej nocy obudził mnie cichy śpiew Olpeya przez sen. Przysięgam, że nigdy nie słyszałam takiej melodii i tego języka, a mimo to

wydawały się niezwykle znajome.

Ulewnie deszcze. Nasze szałas powstrzymały większość opadów. Szkoda mi tych, którzy nie podjęli żadnych kroków, by zapewnić sobie schronienie, i dziwię się ich brakowi inteligencji. Dwie kobiety przyszły do nas z trójką małych dzieci. Marthi, Chellia i ja nie chciałyśmy, żeby tłoczyły się z nami, ale nie byłyśmy w stanie znieść żalosnego drżenia ich dzieci. Wpuściłyśmy je więc, ale stanowczo zaznaczyłyśmy, że jutro muszą nam pomóc w budowie. Jeśli pomogą, my pomożemy im zbudować własny szałas. Jeśli nie, muszą się wynieść. Być może trzeba zmusić ludzi, by zaczęli działać we własnym interesie.

Dzień 17 lub 18 miesiąca modłów 14 rok Satrapy Esklepiusa

Podnieśliśmy i zabezpieczyliśmy pierwszą Wielką Platformę. Sewet i Retyo sporządzili drabinki sznurowe, które zwisają aż do ziemi. Była to dla mnie chwila wspaniałego triumfu, gdy tak sobie stałam i patrzyłam w górę na solidnie umocowaną między konarami drzewa platformę. Gałęzie niemal skrywały ją przed wzrokiem. To moje dzieło, pomyślałam. Retyo, Crorin, Finsk i Tremartin wykonali większość prac związanych z podnoszeniem i mocowaniem, ale projekt platformy, lekkość balansowania na konarach, umieszczenie ciężaru tylko tam, gdzie może zostać utrzymany, oraz wybór miejsca to moje dzieło. Czułam się taka dumna.

Nie trwało to jednak długo. Wchodzenie po drabinie z pnączy, która ugina się pod każdym krokiem i huśta tym bardziej, im wyżej się wejdzie, nie jest dla ludzi słabego serca ani na wątłe kobiece siły. W połowie drogi na górę siły mnie

opuściły. Mocno przywarłam do szczebli, na poły omdlała, i Retyo był zmuszony przyjść mi z pomocą. Wstyd mi, że ja, mężatka, zarzuciłam mu ramiona na szyję, jakbym była małym dzieckiem. Ku mojemu przerażeniu, nie zniósł mnie na dół, lecz uparł się, żeby wejść ze mną na górę, bym mogła zobaczyć z naszej platformy nowe widoki.

Zapierały dech w piersiach i zarazem sprawiały mi zawód. Staliśmy wysoko nad bagnistym gruntem, który tak długo wciągał nasze stopy, a jednak ciągle poniżej parasola liści, który przepuszcza tylko najsilniejsze promienie słoneczne. Spojrzałam w dół na zwodniczo solidne podłoże z liści, gałęzi i pnączy. Chociaż inne ogromne pnie i gałęzie przesłaniały nam widok, udało mi się nagle spojrzeć daleko w las w niektórych kierunkach. Wydawało się, że ciągnie się bez końca. A mimo to widok gałęzi sąsiednich drzew niemal stykających się z naszymi przepełnił mnie ambicją. Nasza następna platforma będzie się wspierać na trzech sąsiadujących drzewach. Platformę Pierwszą z Platformą Drugą połączy kładka. Chellia i Sewet już plotą sieci bezpieczeństwa, dzięki którym nasze dzieci nie spadną z Platformy Pierwszej. Kiedy je skończą, każę im zamocować nasze kładki i sieci, które będą je osłaniać.

Starsze dzieciaki najsprawniej się wdrapują i najszybciej przystosowują do naszego nadrzewnego życia. Już są przerażająco nieostrożne, gdy wychodzą z platformy po ogromnych konarach, na których ta jest wsparta. Gdy często napominałam je, żeby były ostrożne, Retyo łagodnie mnie zganił. „To ich świat” – powiedział. – „Nie mogą się go bać. Będą chodzić tak pewnym krokiem jak żeglarze po takielunku. Te konary są szersze niż chodniki w niektórych miastach, jakie odwiedziłem. Przed przejściem po tym konarze powstrzymuje cię jedynie świadomość, jak daleko jest do ziemi. Zamiast tego pomyśl o drewnie pod stopami”.

Pod jego okiem, trzymając go kurczowo za ramię, faktycznie przeszłam po jednym z konarów. Gdy pokonaliśmy już kawałek i zaczął się kołysać pod naszym ciężarem, straciłam odwagę i uciekłam na platformę. Spoglądając w dół, z trudem dostrzegałam szalasy naszej błotnistej, małej osady. Wspięliśmy się do innego świata. Więcej tu światła, choć nadal jest ono rozproszone, i jesteśmy bliżej zarówno owoców, jak i kwiatów. Jaskrawe ptaki skrzeczą do nas, jakby kwestionowały nasze prawo do przebywania w tym miejscu. Ich gniazda zwisają niczym zawieszane na drzewach koszyki. Przyglądam się ich wiszącym domom i zastanawiam się, czy nie mogłabym zaadaptować tego przykładu, by zrobić bezpieczne „gniazdo” dla siebie. Już mam poczucie, że to nowe terytorium należy do mnie z prawa ambicji i sztuki, jakbym zamieszkiwała w jednej z moich podwieszanych rzeźb. Czy potrafię sobie wyobrazić miasto wiszących chat? Nawet ta platforma, pusta teraz, ma równowagę i lekkość. Jutro usiądę z żeglarzem Retyo i tkaczką Sewet. Przypominam sobie sieci

ładunkowe, które przenosiły wielkie ciężary z nabrzeża na pokład statku. Czy platformy nie dałoby się umieścić w takiej sieci, sieci pokrytej dla zachowania prywatności strzechą, a wszystkiego zawiesić na solidnym konarze, tworząc wzniosłą i prywatną komnatę? Jak zapewnimy wtedy dostęp z takich siedzib do Wielkich Platform? Pisząc te słowa, uśmiecham się, ponieważ nie myślę, czy to się da zrobić, lecz jak to zrobić.

I Olpey, i Petrus mają wysypkę na głowie i szyi. Drapią się i skarżą, że skóra jest w dotyku chropowata jak łuski. Nie potrafię nic na to poradzić i boję się, że może się to przenieść na innych. Widziałam sporo dzieci, które się żałośnie drapały.

Dzień 6 lub 7 miesiąca złota 14 rok Satrapy Esklepiusa

Dwa wydarzenia o wielkim znaczeniu. Jestem jednak tak zmęczona i przybita, że niemal nie mogę pisać ani o jednym, ani o drugim. Ostatniej nocy, gdy zasnęłam w tej kołyszącej się klatce dla ptaków, którą nazywam domem, czułam się bezpieczna i byłam niemal pogodna. Tej nocy to wszystko mi odebrano.

Pierwsza sprawa. Ostatniej nocy obudził mnie Petrus. Drżący wpełzł pod moje maty i położył się koło mnie, jakby znowu był moim małym

chłopczykiem. Szepnął, że Olpey go straszy, śpiewając piosenki z miasta, i że musi mi o tym powiedzieć, chociaż przyrzekł, że nie powie.

Podczas swoich wypraw po pożywienie chłopcy odkryli w lesie nienaturalnie kwadratowy kopiec. Petrus poczuł niepokój i nie chciał się do niego zbliżyć. Nie potrafił powiedzieć mi dlaczego. Olpeya kopiec przyciągał.

Dzień po dniu syn Chellii nalegał, żeby tam wrócili. Kiedy Petrus wracał sam, to dlatego, że Olpey badał kopiec. W którymś momencie tego grzebania i kopania chłopak znalazł wejście do niego. Obaj wchodzili tam już kilka razy. Petrus określił to jako zasypaną wieżę, chociaż nie miało to dla mnie sensu.

Powiedział, że ściany są popękane i przedostaje się przez nie błoto, ale w zasadzie są solidne. Są tam gobeliny i stare meble, jedne w dobrym stanie, drugie przegniłe, a także inne znaki, że kiedyś mieszkali tam ludzie. Mimo to Petrus, gdy to mówił, drżał. Stwierdził, że nie wydaje mu się, żeby to byli ludzie tacy jak my. Mówi, że to stamtąd dochodzi muzyka.

Petrus zszedł tylko jedną kondygnację, ale Olpey powiedział mu, że sięgają one dużo głębiej. Mój syn bał się schodzić w ciemności, wówczas jednak Olpey, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, sprawił, że cała wieża zalana została światłem. Drwił z tchórzostwa Petrusa i opowiadał historie o niezmiernych bogactwach i dziwnych przedmiotach w głębi wieży. Twierdził, że rozmawiają z nim duchy i wyjawiają mu swoje tajemnice, także tę, gdzie znaleźć skarbiec.

Wtedy też Olpey zaczął mówić, że kiedyś mieszkał w wieży, dawno temu, gdy był starym człowiekiem.

Nie czekałam na rano. Obudziłam Chellię, a ona po wysłuchaniu tej

opowieści obudziła Olpeya. Chłopiec był wściekły. Syknął, że już nigdy nie zaufa Petrusowi i że wieża jest jego sekretem, a wszystkie skarby należą do niego i nie musi się nimi dzielić. Gdy ciągle jeszcze panowała noc, Olpey uciekł, biegnąc po jednym z konarów, które stały się ścieżkami dzieci. Nie wiedzieliśmy dokąd.

Kiedy ranek w końcu przedarł się przez przesłaniające niebo gałęzie, Chellia i ja poszliśmy za Petrusem przez las do tej wieży-kopca. Retyo i Tremartin towarzyszyli nam, a mały Carlmin nie chciał zostać z dziewczynkami Chellii. Ujrzałam kwadratowy kopiec wystający z bagna i odwaga mnie opuściła. Nie chciałam jednak, żeby Retyo uważał mnie za tchórza, więc zmusiłam się, by iść dalej.

Szczyt wieży był gęsto obrosnięty mchem i spowity pnączami, a mimo to miał zbyt regularny kształt, żeby zlać się z dżunglą. Na jednym z boków chłopcy odsunęli pnącza i mech, odsłaniając okno w kamiennej ścianie. Retyo zapalił pochodnię, którą przyniósł ze sobą, po czym gęsiego ostrożnie weszliśmy do środka. Roślinność zapuściła do tego pomieszczenia wąsy i korzenie. Na brudnej podłodze widać było błotniste ślady stóp chłopców. Podejrzewałam, że obaj badali to miejsce znacznie dłużej, niż Petrus był skłonny przyznać. W rogu pokoju stała rama łóżka przyozdobiona skrawkami tkaniny. Z zasłon owady i myszy zrobiły wiszące strzępy.

Mimo półmroku i zniszczeń widać było w tym pokoju ślady dawnego piękna. Chwyciłam kawałek przegniłej zasłony i zeszkrobałam nalot z fryzu, wznecając chmurę kurzu. Zdumienie powstrzymało kaszel. Moja artystyczna dusza odżyła na widok pięknie ukształtowanych i pomalowanych kafelków oraz delikatnych barw, które odsłoniłam. Ale moje matczyne serce zamarło na widok tego, co się ukazało. Postaci były wysokie i szczupłe, ludzie przedstawieni jako patykowate owady. Mimo to nie uważałam, że to zarozumiałstwo artysty. Niektórzy trzymali coś, co mogło być instrumentami muzycznymi lub bronią. Nie potrafiliśmy tego ocenić. W tle pracownicy doglądali zagonu trzciny przy rzece jak rolnicy zbierający plony z pola. Kobieta we wspaniałym złotym fotelu górowała nad tym wszystkim i wydawała się zadowolona. Twarz miała surową, a jednak życzliwą; czułam, jakbym widziała ją już wcześniej. Przyglądałabym się dłużej, ale Chellia zażądała, żebyśmy szukali jej syna.

Z surowością, której nie czułam, kazałam Petrusowi pokazać, gdzie się bawili. Zbladł, gdy zrozumiał, że domyśliłam się prawdy, ale poprowadził nas. Opuściliśmy alkierz krótkimi, biegnącymi w dół schodami. Na podeście w dwóch oknach były grube szyby, ale gdy Retyo przysunął do jednego z nich pochodnię, oświetliła długie, białe robaki przeciskające się w wilgotnej ziemi. Nie wiem, jak szkło mogło wytrzymać jej napór. Weszliśmy do szerokiego holu. Pod naszymi stopami dywany rozpadały się na wilgotne nitki. Mijaliśmy drzwi, niektóre zamknięte, i inne sklepione przejścia z rozdziawionymi, mrocznymi paszczami, ale Petrus prowadził nas dalej. W końcu dotarliśmy do szczytu schodów, dużo bardziej okazałych niż pierwsze. Gdy schodziliśmy tymi

otwartymi schodami w krąg ciemności, byłam wdzięczna, że mam Retyo u swego boku. Jego spokój dodał mi odwagi. Starożytny chłód kamienia przenikał przez moje znoszone buty i wspinał się po nogach do kręgosłupa, jakby zmierzał do serca. Pochodnia oświetlała niewiele więcej niż nasze przestraszone twarze, szepty cichły, wzbudzając upiorne echa. Minęliśmy jeden podest, potem drugi, a Petrus ani się nie odezwał, ani nie zawahał, prowadząc nas w dół. Czułam się, jakbym weszła w paszczę jakiejś wielkiej bestii i teraz schodziła do jej trzewi.

Gdy w końcu dotarliśmy do dna, jedna pochodnia nie była w stanie rozprościć otaczającej nas czerni. Płomień migotał w przepływającym powietrzu dużo większej komnaty. Mimo półmroku wiedziałam, że w porównaniu z tym pomieszczeniem wielka sala balowa w pałacu Satrapy wydawałaby się mała. Powoli posuwałam się po omacku naprzód, gdy nagle Carlmin bez strachu oddalił się ode mnie i opuścił krąg światła. Zawołałam go, ale jedyną odpowiedzią był pospieszny tupot jego kroków. „Och, biegnijmy za nim!” – poprosiłam Retyo, lecz gdy ruszył, pomieszczenie niespodziewanie zalało światło, jakby horda duchów zdjęła osłony ze swoich latarni. Krzyknęłam przerażona, po czym zaniemówiłam.

W środku komnaty stał na tylnych łapach wielki, zielony smok. Pazury tylnych łap były głęboko zatopione w kamieniu, a jego chłoszczący ogon

rozciągał się na pół pomieszczenia. Rozwinięte szmaragdowe skrzydła podtrzymywały wysoki sufit. Na szczycie wijącej się szyi znajdował się łeb wielkości wozu. W błyszczących srebrnych oczach jaśniała inteligencja. W mniejszych, przednich łapach ścisnął rączkę wielkiego kosza. Sam kosz był kunsztownie ozdobiony pasem kokardek z nefrytu i wstęgą z kości słoniowej. W środku spoczywała, pogodnie oparta, kobieta nadnaturalnej władczości. Nie była piękna – aura władzy sprawiała, że piękno było nieistotne. Nie była też młoda i pociągająca. Przekroczyła wiek średni, a jednak zmarszczki, które rzeźbiarz wyrył na jej czole i w kącikach oczu, wydawały się bruzdami mądrości. Klejnoty umieszczono powyżej zmarszczek na czole i wzdłuż policzków, co naśladowało łuski smoka. Nie było to pozbawione wyrazu przedstawienie żeńskiego aspektu Sa. Wiedziałam, że ta rzeźba powstała ku czci kobiety z krwi i kości, i wstrząsnęło to mną do głębi. Giętka szyja smoka została wyrzeźbiona tak, żeby patrzył na kobietę, i nawet jego gadzie oblicze zdradzało szacunek, jaki dla niej żywił.

Nigdy nie widziałam takiej podobizny kobiety. Słyszałam zagraniczne opowieści o Królowych Ladacznicach i władczyniach, ale zawsze wydawały mi się zmyśleniami jakiegoś barbarzyńskiego i zacofanego kraju, uwodzicielskimi kobietami o złych zamiarach. Ona sprawiła, że legendy te stały się kłamstwem. Przez jakiś czas widziałam tylko ją. Później ocknęłam się i wróciło poczucie obowiązku.

Mały Carlmin, uśmiechnięty od ucha do ucha, stał w pewnej odległości od nas z ręką na płycinie przymocowanej do kolumny. W tym nienaturalnym

światle jego ciało wyglądało jak lód. Jego drobna postać dawała wyobrażenie o ogromie tej komnaty, a ja nagle dostrzegłam wszystko, co przesłonili mi smok i kobieta.

Światło płynęło z białych gwiazd i latających po całym suficie smoków.

Pełzło po pnączach na ścianach, obramowując czworo odległych drzwi, które wiodły do mrocznych korytarzy. Fontanny bez wody i rzeźby łamały ogromną płaszczyznę podłogi. Był to olbrzymi wewnętrzny plac, miejsce, w którym ludzie gromadzili się i rozmawiali lub dla zabicia czasu spacerowali między fontannami i rzeźbami. Mniejsze kolumny podtrzymywały wijące się pnącza z liśćmi z nefrytu i kwiatami z krwawnika. Rzeźba wyskakującej z wody ryby przeczyła suchemu basenowi fontanny. Rozpadające się sterty rozrzucone po całej komnacie wskazywały na pozostałości drewnianych konstrukcji, straganów lub scen. Jednak ani kurz, ani zniszczenia nie były w stanie przesłonić wywołującego dreszcze piękna tego miejsca. Skala i lekkość owego pomieszczenia pozbawiły mnie tchu i wzbudziły nieufny podziw. Ludzie, którzy zbudowali taką komnatę, nie mogli łatwo zginąć. Co pokonało tych, których magia nadal, całe lata po ich śmierci, potrafi oświetlić komnatę? Czy niebezpieczeństwo, które ich zniszczyło, zagraża także nam? Co to było? Dokąd odeszli?

Czy naprawdę odeszli?

Jak w komnacie powyżej, odnosiło się wrażenie, że ludzie po prostu wyszli, zostawiając wszystkie swoje rzeczy. I tutaj błotniste ślady chłopców na podłodze zdradzały, że byli tu wcześniej. Większość prowadziła do jednych drzwi.

„Nie zdawałem sobie sprawy, że to miejsce jest takie duże”. – Cichy głos

Petrusa brzmiał ostro w tym bezmiarze, gdy patrzył na damę i jej smoka.

Obrócił się powoli dookoła, przyglądając się sufitowi. „Musieliśmy tutaj

używać pochodni. Jak zapaliłeś światło, Carlmin?” – W głosie chłopaka słychać

było niepokój z powodu wiedzy jego małego brata.

Ale Carlmin nie odpowiedział. Mój maluch biegł truchtem przez ogromną

komnatę, jakby zaproszono go do jakiejś zabawy. „Carlmin!” – krzyknęłam,

a mój głos odbił się tysiącem upiornych ech. Gdy się gapiłam, zniknął w jednym

z przejść. Rozświetliło się w niepewny, mroczny sposób. Pobiełam za nim,

a pozostali za mną. Ściagałam go w zakurzonej korytarzu.

Gdy dotarłam za nim do mrocznej komnaty, rozbłysło wokół mnie światło.

Mój syn siedział u szczytu długiego stołu z gośćmi w egzotycznych strojach.

Rozbrzmiewały śmiech i muzyka. Wtedy mrugnęłam i po obu stronach stołu

tkwiły już tylko rzędy pustych krzeseł. Z uczty zostały chropawe plamy na

kryształowych kielichach i talerzach, ale muzyka nadal rozbrzmiewała,

stłumiona i przeciągła. Znałam ją ze snów.

Wznosząc kielich w toast, Carlmin przemówił głucho: „Za moją lady!”

Uśmiechnął się czule, gdy jego dziecięcy wzrok napotkał niewidoczne oczy.

Kiedy zaczął unosić go do ust, chwyciłam syna, złapałam go za nadgarstek

i wyrwałam mu kielich. Spadł w kurz, roztrzaskując się na drobne kawałki.

Patrzył na mnie oczyma, które mnie nie poznawały. Mimo że bardzo ostatnio wydorósł, chwyciłam go i przycisnęłam do siebie. Głowa opadła mu na moje ramię i zamknął oczy, drżąc. Muzyka umilkła. Retyo wziął go ode mnie, mówiąc stanowczo: „Nie powinniśmy pozwolić chłopcu tu przyjść. Im szybciej opuścimy to miejsce z jego umierającą magią, tym lepiej”. Rozejrzał się z niepokojem. „Dobijają się do mnie nie moje myśli i słyszę głosy. Czuję, że byłem tu wcześniej, choć wiem, że nie byłem. Powinniśmy zostawić to miasto duchom, które je nawiedzają”. Wydawał się zawstydzony tym, że przyznał się do strachu, ale poczułam ulgę, że jedno z nas powiedziało to na głos.

Wtedy Chellia krzyknęła, że nie możemy zostawić tutaj Olpeya, skazując go na działanie czaru, któremu uległ Carlmin. Wybacz mi, Sa, bo chciałam jedynie zabrać własne dzieci i uciec. Ale Retyo, niosąc i pochodnię, i mojego syna, prowadził nas dalej. Jego przyjaciel Tremartin roztrzaskał krzesło o kamienną podłogę i podniósł jedną z nóg, traktując ją jak maczugę. Nikt nie spytał go, jaki będzie pożytek z maczugi przeciwko pajęczynie obcej pamięci, która nas schwytała. Petrus przeszedł do przodu, żeby objąć przewodnictwo. Gdy spojrzałam za siebie, światło w komnacie zamrugało.

Poszliśmy holem i kolejnymi schodami, które wiodły w dół, do mniejszego holu. Posągi stały w niszach wzdłuż ścian, przed każdym zaś znajdowały się

pokryte grubą warstwą kurzu ogarki świec. Wiele z tych posągów przedstawiało kobiety, koronowane i gloryfikowane jak królowie. Ich szaty lśniły od maleńkich kamieni szlachetnych, a we włosach miały sznury pereł.

Nienaturalne światło było niebieskie i niepewne, migotało, grożąc zapadnięciem całkowitych ciemności. Sprawilo, że poczułam się dziwnie senna. Wydawało mi się, że słyszę szepty, raz zaś, gdy otarłam się o drzwi, usłyszałam w oddali śpiew dwóch kobiet. Wzdrygnęłam się ze strachu, a Retyo obejrzał się, jakby i on je słyszał. Żadne z nas nie powiedziało słowa. Poszliśmy dalej. Jedne korytarze rozbłyskiwały światłem, gdy nimi przechodziliśmy. Inne uparcie pozostawały ciemne, sprawiając, że nasza zawodna pochodnia wydawała się oszustwem. Nie wiem, co mnie bardziej zniechęcało.

W końcu znaleźliśmy Olpeya. Siedział w małym pokoju na bogato rzeźbionym krześle przy męskiej toaletce. Złocenia odpadły od drewna i ich fragmenty poniewierały się dookoła. Patrzył w nadgryzione zębem czasu lustro; miało mnóstwo czarnych plamek. Rogowe grzebienie i rączka szczotki zaśmiecały stojący przed nim stół. Na kolanach trzymał otwarty kuferek, a na szyi miał wiele wisiorków. Głowa opadła mu na bok, ale oczy miał otwarte i uważne. Mruczał do siebie. Gdy się zbliżyliśmy, sięgnął po flakon perfum i udawał, że spryskuje się dawno wywietrzałym płynem, obracając głowę na boki przed swoim zamglonym

odbiciem.

Naśladował wyniosłego

i zarozumiałego człowieka.

„Przestań!” – syknęła jego przerażona matka. Nie wystraszył się, a ja poczułam się niemal tak, jakbyśmy to my byli tutaj duchami. Chellia złapała go i potrząsnęła nim. W tym momencie się przebudził, ale był przerażony.

Krzyknął, gdy ją rozpoznał, spojrzał dziko na siebie, po czym zemdłał. „Och, pomóżcie mi go stąd zabrać” – błagała biedna praczka.

Tremartin położył rękę Olpeya na swoich ramionach i w zasadzie włókł chłopca, gdy uciekaliśmy. Światła gasły, w miarę jak opuszczaliśmy kolejne pomieszczenia, tak jakby ścigająca nas ciemność była tylko o krok za nami.

Najpierw muzyka robiła się wokół nas głośniejsza, przycichała zaś, gdy biegliśmy. Kiedy w końcu wydostaliśmy się przez okno na otwartą przestrzeń, bagna wydały nam się zdrowym miejscem, pełnym światła i świeżości.

Przeżyłam wstrząs, zorientowawszy się, że na dole spędziliśmy większą część dnia.

Na świeżym powietrzu Carlmin szybko doszedł do siebie. Tremartin ostro przemówił do Olpeya i potrząsnął nim, a wtedy ten ze złością oprzytomniał.

Wyrwał się mężczyźnie i nie chciał powiedzieć nam nic sensownego. Na zmianę ponury i bezczelny, nie chciał też wyjaśnić, dlaczego uciekł do miasta ani co tam robił. Nie miał zamiaru zemdleć. Był wściekły na Petrusa i ogromnie zazdrosny o ozdobne wisiorki, które miał na sobie. Błyszczały kamieniami szlachetnymi wszelkich kolorów, a mimo to zawiesiłabym sobie któryś na szyi równie niechętnie, jak pozwoliłabym, aby owinał się wokół niej wąż. „One są

moje” – ciągle wykrzykiwał. – „Moja ukochana dała mi je dawno temu. Nikt ich

mi teraz nie zabierze!”

Potrzeba było całej cierpliwości i matczynych sztuczek Chellii, żeby nakłonić Olpeya do powrotu. Mimo wszystko włókł się za nami niechętnie. Nim dotarliśmy na skraj obozu, niemal zapadły ciemności, a owady zrobiły sobie z nas ucztę.

Na położonych wysoko w górze platformach szumiało od podnieconych głosów jak w zaniepokojonym ulu. Wspięliśmy się po drabinkach, a ja byłam tak wyczerpana, że myślałam tylko o własnym schronieniu i łóżku. Jednak gdy dotarliśmy do Wielkiej Platformy, powitały nas okrzyki podniecenia.

Zwiadowcy wrócili. Na widok męża, chudego, brodatego i obdartego, ale żywego, serce zabiło mi szybciej. Mały Carlmin stał i gapił się na niego, jakby był nieznajomym, ale Petrus popędził, żeby go powitać. Retyo pożegnał się ze mną smutno i zniknął gdzieś w tłumie.

Jathan z początku nie poznał syna. Gdy zrozumiał, kto to, spojrzął na górę i popatrzył ponad tłumem. Kiedy dwukrotnie minął mnie wzrokiem, wyszłam naprzód, prowadząc Carlmina za rękę. Myślę, że zorientował się, kim jestem, bardziej po wyrazie mojej twarzy niż po wyglądzie. „Na miłość Sa, Carillion, czy to ty? Zlituj się nad nami wszystkimi”. Doszłam do wniosku, że nie jest zadowolony z tego, jak wyglądam. Nie wiem, dlaczego tak mocno mnie to dotknęło ani dlaczego poczułam się zawstydzona, że uścisnął mi dłoń, ale mnie nie objął. Mały Carlmin stał obok mnie, patrząc obojętnie na swojego ojca.

A teraz muszę przestać rozczulać się nad sobą i streścić ich relację. Odkryli jedynie dalsze bagna. Rzeką Deszczową uchodzi do morza większość wód

rozległego systemu rzecznego, który obejmuje całą szeroką dolinę. Woda płynie w równym stopniu na powierzchni ziemi i pod nią. Nie znaleźli suchego terenu, jedynie mokradła, trzęsawiska i moczary. Odkąd nas opuścili, nie udało im się zobaczyć czystego horyzontu. Z dwunastu mężczyzn wróciło siedmiu. Jednego pochłonęło grzęzawisko, jeden zniknął w nocy, a trzech pozostałych pokonała gorączka. Ethe, mąż Chellii, nie wrócił.

Nie byli w stanie określić, jak daleko w głąb lądu się zapuścili. Korony drzew niweczyły ich wysiłki, by kierować się gwiazdami, i w końcu musieli zatoczyć ogromne koło, ponieważ stwierdzili, że znowu stoją na brzegu rzeki. W drodze powrotnej natknęli się na tych z pasażerów trzeciego statku, którzy przeżyli. Porzucono ich w dole rzeki, tam gdzie i nas zostawiono. Ich kapitan zrezygnował z wypełnienia zadania, gdy zobaczył przepływające obok szczątki statku. Był bardziej miłosierny od naszego, ponieważ dopilnował, żeby cały ich ładunek dotarł na brzeg, a nawet zostawił im jedną łódź. Niemniej wiedli ciężkie życie i wielu chciało wrócić do domu. Najlepszą wiadomością było to, że nadal mają cztery gołębie pocztowe. Jednego posłali, gdy znaleźli się na brzegu. Drugiego wyprawili z wiadomością o swej niedoli po pierwszym miesiącu.

Nasi zwiadowcy rozwiali wszelkie ich nadzieje. Grupa postanowiła zaprzestać wysiłków tworzenia osady. Siedmiu z ich młodych mężczyzn wróciło

z naszymi ludźmi, żeby i nam pomóc się ewakuować. Gdy się z nimi połączymy, wyślą gołębia do Jamaillii z prośbą o statek ratunkowy. Wtedy pójdziemy w dół rzeki, na wybrzeże, licząc na ratunek.

Gdy wróciłam z Chellią i Retyo, Towarzystwo kwaśno przewidywało, że żadnego statku nie wyślą. Niemniej jednak wszyscy się pakowali, żeby ruszyć w drogę. Wtedy przybyła Chellia ze swoim synem obwieszonym kamieniami szlachetnymi. Gdy próbowała opowiedzieć, co się stało, tłumowi zbyt dużemu, żeby wszyscy mogli ją słyszeć, niemal doszło do zamieszek. Niektórzy mężczyźni, pomimo zapadających ciemności, chcieli natychmiast wyruszyć do zasypanej wieży. Inni koniecznie chcieli potrzytać klejnoty, a gdy Olpey nikomu nie pozwolił ich tknąć, doszło do przepychanki. Chłopiec wyrwał się i dawszy susa ze skraju platformy, skakał z jednego konaru na drugi jak małpa, dopóki nie zniknął w mroku. Modlę się, żeby był dziś w nocy bezpieczny, ale obawiam się, że popadł w obłąd.

Inny rodzaj obłądu ogarnął naszych ludzi. Skryłam się z synami w swoim szałasie. Na zewnątrz, na platformach, noc rozbrzmiewa krzykami. Słyszę, jak kobiety proszą, żeby wyruszyć, a mężczyźni odpowiadają im, że tak, owszem, wyruszą, ale najpierw sprawdzą, jakie skarby skrywa miasto. Gołąb pocztowy z kamieniem szlachetnym przywiązany do nogi szybko sprowadzi statek, żartują. Oczy im błyszcżą i wszyscy mówią głośno.

Nie ma przy mnie męża. Pomimo długiego rozstania rzucił się w wir tych dyskusji, zamiast być ze swoją żoną i synami. Czy on w ogóle zauważył, że choć nie jestem już w ciąży, to moje ręce są puste? Wątpię.

Nie wiem, dokąd poszła Chellia ze swoimi córkami. Gdy się dowiedziała, że Ethe nie wrócił, załamała się. Mąż nie żyje, Olpey zaginiony lub gorzej. Boję się o nią i łączę się z nią w bólu. Myślałam, że powrót zwiadowców przepełni mnie radością. Teraz nie wiem, co czuję. Wiem jednak, że nie jest to radość czy nawet ulga.

Dzień 7 lub 8 miesiąca złota 14 rok Satrapy Esklepiusa

Przyszedł do mnie ciemną nocą i pomimo bólu, jaki noszę w sercu, oraz śpiących obok naszych synów dałam mu to, czego chciał. Część mnie pragnęła jedynie delikatnego dotyku, część kpiła ze mnie z tego powodu, ponieważ on przychodził do mnie tylko wtedy, gdy załatwił już swoje pilniejsze sprawy.

Niewiele mówił i zaspokoił się w ciemności. Czy mogę go winić? Wiem, że została ze mnie skóra i kości, cerę mam szorstką, a włosy suche jak słoma.

Wysypka, którą miały dzieci, teraz niczym wąż pełźnie wzdłuż mojego kręgosłupa. Lękałam się, że jej dotknie, głównie dlatego, iż przypomniałoby mi to, że ją mam, ale nie dotknął. Nie tracił czasu na pieszczoty. Patrzyłam ponad jego ramieniem w ciemność i myślałam o Retyo, zwykłym żeglarzu, który mówi z akcentem z wybrzeża. Kim ja się tutaj stałam?

Popołudnie

I tak znowu jestem żoną lorda Jathana Carrocka, który może rozporządzać moim życiem. On zdecydował o naszym losie. Gdy Olpey zniknął, a nie można było znaleźć ani Retyo, ani Tremartina, Jathan oświadczył, że odnalezienie ukrytego miasta przez jego potomka daje mu pierwszeństwo do wszystkich znajdujących się w nim skarbów. Petrus zaprowadzi jego i pozostałych mężczyzn do zasypanej wieży. Systematycznie ją przetrząsną w poszukiwaniu skarbów, którymi wkupimy się ponownie w łaski Satrapy. Jest bardzo dumny, gdy twierdzi, że Petrus odkrył wieżę, a tym samym Carrockom przysługuje większy udział w skarbie. Nie przejmuje się tym, że Olpeya nadal nie ma i że Chellia i jej córki szaleją ze zmartwienia. Mówi tylko o tym, że skarb zapewni nam powrót w chwale na łono społeczeństwa. Wydaje się, że zapomniał o milach bagien i morza, które dzielą nas od Jamaillii.

Powiedziałam mu, że miasto to niebezpieczne miejsce i że nie powinien myśleć tylko o łupach. Przestrzegłam go przed groźną magią, przed światłami, które się zapalają i gasną, przed głosami i muzyką, które dobiegają z oddali, ale zbywa to lekceważąco jako „twory wyobraźni wyczerpanej nerwowo kobiety”. Każe mi trzymać się z dala od niebezpieczeństwa w moim „małym małym gniazdku”, dopóki nie wróci. Wtedy powiedziałam mu otwarcie. Towarzystwo nie ma zapasów żywności ani sił, żeby wyruszyć w podróż na wybrzeże. Jeśli się lepiej nie przygotujemy, zginiemy po drodze, ze skarbem czy bez niego. Myślę, że powinniśmy zostać tutaj, dopóki nie będziemy lepiej przygotowani lub dopóki nie przybędzie tutaj po nas statek. Nie musimy się przyznawać do

porażki. Możemy sobie poradzić, jeśli wszystkich mężczyzn skierujemy do zbierania żywności i znajdziemy jakiś sposób gromadzenia wody deszczowej. Nasze nadrzewne miasto może być czymś wspaniałym i pięknym. Pokręcił głową, jakbym była dzieckiem przynudzającym o skrzatach w kwietnych altankach. „Jak zwykle pochłonięta jesteś swoją sztuką” – stwierdził. – „Nawet głodna i w łachmanach nie widzisz, co jest realne”. Potem powiedział, że podziwia to, czym się zajmowałam podczas jego nieobecności, ale teraz wrócił i weźmie sprawy rodziny w swoje ręce.

Miałam ochotę plunąć mu w twarz.

Petrus nie chciał poprowadzić mężczyzn. Jest przekonany, że wieża zabrała Olpeya i że już go nie zobaczymy. O podziemiach mówi z głębokim lękiem. Carlmin powiedział ojcu, że nigdy nie był w zasypanym mieście, po czym usiadł i zaczął ssać kciuk, czego nie robił, odkąd skończył dwa lata.

Gdy Petrus próbował ostrzec Jathana, ten roześmiał się i rzekł: „Jestem innym człowiekiem niż ten delikatny arystokrata, który opuścił Jamailię. Skrzaty waszej niemądrej matki nie martwią mnie”. Gdy powiedziałam mu ostro, że ja też jestem inną kobietą niż ta, którą zostawił, żeby sama radziła sobie w dziczy, odparł chłodno, że widzi to aż nazbyt wyraźnie i ma tylko nadzieję, iż powrót na łono cywilizacji przypomni mi zasady dobrego wychowania. Po czym zmusił Petrusa, żeby poprowadził ich do ruin.

Nie wróciłabym tam za żadne skarby świata, nawet gdyby podłogi zasłane były brylantami, a z sufitów zwisały sznury pereł. Niebezpieczeństwo nie zrodziło się w mojej wyobraźni i nienawidzę Jathana za to, że zaciągnął tam Petrusa.

Spędzę ten dzień z Marthi. Jej mąż wrócił cały i zdrowy, lecz natychmiast zostawił ją, by uganiać się za skarbami. W przeciwieństwie do mnie niezmiernie radują ją jego plany i mówi, że dzięki niemu wrócą do społeczeństwa i znowu będą bogaci. Ciężko jest mi słuchać takich bzdur. „Moje dziecko będzie się wychowywać w mieście błogosławionym przez Sa” – mówi. Jest chuda niczym sznurek, a jej brzuch wygląda jak zawiązany na nim supeł.

Dzień 8 lub 9 miesiąca złota 14 rok Satrapy Esklepiusa

Śmieszna data dla nas. Tutaj nie będzie miesiąca złotych żniw. Satrapa też już nic dla mnie nie znaczy.

Wczoraj Petrus pokazał im drogę do okna wieży, ale gdy mężczyźni weszli do środka, uciekł, zostawiając krzyczącego ze złości ojca. Wrócił do mnie blady i drżący. Mówi, że dobiegający z wieży śpiew stał się tak głośny, że nie potrafi się skupić, kiedy jest w pobliżu. Czasami w korytarzach z czarnego kamienia migały mu postaci dziwnych ludzi. Pojawiali się i znikali w okamgnieniu jak ich zapalające się i gasnące światło.

Uciszyłam go, ponieważ jego słowa wzbudzały niepokój Marthi. Pomimo planów Jathana wczorajszy dzień spędziłam na przygotowaniach do zimy. Na obydwu naszych wiszących szalasach położyłam drugą strzechę z szerokich liści powiązanych pnączami. Myślę, że nasze schronienia, szczególnie mniejsze

wiszące chatki i małe piesze przejścia, które łączą je z Wielką Platformą, trzeba będzie wzmocnić przed zimowymi wiatrami i deszczami. Marthi nie pomogła mi za bardzo. Cięża sprawiła, że jest niezgrabna i powolna, ale tak naprawdę chodzi o to, że wierzy, iż wkrótce udamy się do domu, do Jamaillii. Większość kobiet czeka teraz tylko, by ruszyć w drogę.

Niektórzy poszukiwacze skarbów wrócili ostatniej nocy, donosząc o rozległym zasypanym mieście. Bardzo różni się ono od Jamaillii, wszystko jest ze sobą połączone jak w labiryncie. Być może niektóre jego części zawsze znajdowały się pod ziemią, ponieważ w najniższej położonych komnatach nie ma okien ani drzwi. W wyżej leżących częściach budynków były domy i tereny prywatne, w usytuowanych niżej – sklepy, magazyny i rynki. Część miasta od strony rzeki się zawaliła. W niektórych komnatach ściany są wilgotne, a proces gnicia mebli daleko posunięty, ale inne wytrzymały próbę czasu i tam zachowały się dywany, tkaniny dekoracyjne i odzież. Ci, którzy wrócili, przynieśli naczynia i krzesła, dywany i biżuterię, posążki i narzędzia. Jeden z mężczyzn miał na sobie pelerynę połyskującą jak płynąca woda, miękką i lejącą.

W którymś z magazynów znaleźli amfory z winem, ciągle zapieczętowane i nienaruszone. Wino ma złoty kolor i jest tak mocne, że

mężczyźni niemal natychmiast się upili. Wrócili roześmiani, w oparach alkoholu, zachęcając nas, żebyśmy wszyscy poszli do miasta i świętowali winem bogactwo, które nam przypadło. W oczach mieli szalone błyski, które mi się nie podobały.

Inni wrócili przestraszeni i zżękanymi i nie chcieli mówić o tym, co zobaczyli.

Ci zamierzali wyruszyć następnego dnia o świcie, by dołączyć do ludzi w dole rzeki.

Jathan w ogóle nie wrócił.

Mający obsesję na punkcie grabieży mówią głośno, pijani starym winem i szalonymi snami. Już gromadzą skarby. Dwaj mężczyźni wrócili posiniaczeni, bo doszło do bójki o wazę. Do czego doprowadzi nas chciwość? Czuję się osamotniona w swoich ponurych przewidywaniach.

Miasto nie jest przecież podbitym terytorium, które można złupić. Bardziej przypomina opuszczoną świątynię, którą należy traktować z szacunkiem należnym każdemu nieznanemu bogu. Czyż wszyscy bogowie nie są jedynie przejawami obecności Sa? Ale słowa te przysły mi do głowy zbyt późno, żeby je wypowiedzieć. Nie usłuchano by mnie. Mam straszne przeczucie, że ta orgia plądrowania będzie miała konsekwencje.

Moja osada na drzewie niemal się dzisiaj wyludniła. Większość naszych ludzi zapadła na gorączkę poszukiwania skarbów i udała się do podziemi. Tylko chorzy i kobiety z najmłodszymi dziećmi zostali w wiosce. Rozglądam się i przepelnia mnie żal, ponieważ widzę kres moich marzeń. Czy powinnam być bardziej elokwentna, bardziej dramatyczna, bardziej poetyczna, jak mi się

kiedyś wydawało? Nie. Powinnam po prostu stwierdzić, że jestem dogłębnie rozczarowana. I wstrząśnięta tym, że tak to odbieram.

Trudno mi stanąć twarzą w twarz z tym, co opłakuję. Waham się, czy powierzyć to papierowi, ponieważ słowa tu pozostaną, żeby mnie później oskarżać. Jednak sztuka jest przede wszystkim uczciwością, a ja jestem przede wszystkim artystką, a dopiero potem żoną, matką czy nawet kobietą. Napiszę więc. Nie chodzi o to, że jest teraz mężczyzna, którego wolałabym niż męża. Przyznaję to otwarcie. Nie dbam o to, że Retyo jest prostym, siedem lat ode mnie młodszym żeglarzem, którego nie mogą rekomendować ani wykształcenie, ani pochodzenie. Nie to, czym jest, lecz to, kim jest, zwraca ku niemu moje serce i wzrok. Jeszcze dziś wzięłabym go do łóżka, gdybym mogła to uczynić, nie narażając na szwank przyszłości moich synów. Napiszę to wyraźnie. Czy mam się wstydzić, mówiąc, że wolę jego względy od względów mojego męża, gdy Jathan tak jasno pokazał, iż wyżej ceni względy innych mężczyzn z Towarzystwa niż miłość swojej żony?

Nie. Moje serce zamienia się w kamień, gdyż powrót mojego męża, odkrycie skarbów w zasypanym mieście i rozmowy o powrocie do Jamaillii niszczą życie, które tutaj zbudowałam. To mnie smuci. Trudno o tym myśleć. Kiedy tak całkowicie się zmieniłam? To życie jest surowe i trudne. Piękno tej krainy to piękno wygrzewającego się na słońcu węża. Jest równie kuszące jak

niebezpieczne. Wyobrażam sobie, że mogę je opanować, darząc najszczerzym szacunkiem. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęłam odczuwać dumę z umiejętności przetrwania oraz poskromienia drobnej części jego okrucieństwa.

I pokazałam innym, jak to robić. Coś tu zdziałałam i było to coś znaczącego.

Teraz mam to utracić. Znowu stanę się żoną lorda Jathana Carrocka. Moje przestrogi będą odrzucane jako głupie kobiece obawy, a ambicja posiadania pięknego domu pośród drzew zostanie zlekceważona jako niemądre kobiece mrzonki.

Może on i ma rację. Nie, wiem, że ma rację. Ale jakoś nie obchodzi mnie już, co jest słuszne i mądre. Zostawiłam za sobą życie, w którym tworzyłam sztukę po to, by ludzie ją podziwiali. Teraz moją sztuką jest to, jak żyję, i codziennie dodaje mi to sił.

Nie sądzę, żebym mogła z tego zrezygnować. Porzucić wszystko, co tu zaczęłam, to ponad moje siły. I w imię czego? Powrotu do jego świata, w którym znaczę nie więcej niż zabawny śpiewający ptak w filigranowej klatce.

Byłam dzisiaj z Marthi, gdy przyszła Chellia, żeby poprosić Petrusa o pomoc w poszukiwaniu Olpeya. Petrus nie chciał na nią patrzeć. Chellia zaczęła go błagać, więc chłopak zasłonił uszy. Męczyła go, dopóki się nie rozpląkał, czym przstraszył Carlmina. Chellia wrzeszczała jak opętana, zarzucając Petrusowi, że nie dba o swojego przyjaciela, a tylko o bogactwa miasta. Uniosła rękę, jakby chciała uderzyć mojego chłopca, więc podbiegłam i odepchnęłam ją. Upadła. Jej dziewczynki postawiły ją na nogi i odciągnęły, prosząc: „Chodźmy do domu, mam, chodźmy do domu”. Gdy się odwróciłam, Marthi już nie było.

Wieczorem siedzę sama na konarze nad moją chatką, a moi chłopcy śpią w środku. Jest mi wstyd. Ale synowie to wszystko, co mam. Czy to źle, że dbam o ich bezpieczeństwo? Co dobrego stałoby się, gdybym poświęciła swoich synów, żeby ocalić jej syna? Mogłybyśmy stracić ich wszystkich.

Dzień piąty miasta Pierwszy rok Deszczowych Ostępów

Boję się, że przeżyliśmy tyle trudności i udręk tylko po to, by zabiła nas własna chciwość. Ostatniej nocy zginęło w mieście trzech mężczyzn. Nikt nie wie jak; ich ciała bez żadnych obrażeń przyniesiono z powrotem. Jedni mówią, że to oblęd, inni opowiadają o złej magii. Po tym makabrycznym wydarzeniu siedemnaście osób utworzyło grupę i pożegnało się z nami. Daliśmy im liny, plecione maty i co tylko jeszcze mogliśmy i życzyliśmy im wszystkiego najlepszego, gdy odchodzili. Mam nadzieję, że dotrą bezpiecznie do drugiej osady i że kiedyś ktoś w Jamaillii usłyszy opowieść o tym, co nas tu spotkało. Marthi prosiła ich, żeby zatrzymali tę drugą grupę dzień czy dwa dłużej, zanim wyruszy na wybrzeże, bo do tego czasu mąż dostarczy ją do nich.

Nie widziałam Retyo od powrotu mojego męża. Nie sądziłam, że pójdzie szukać skarbów w mieście, ale chyba tak zrobił. Przyzwyczaiałam się do tego, że żyję bez Jathana. Nie mam żadnego prawa do Retyo, a mimo to właśnie do niego bardziej tęsknię.

Znowu odwiedziłam Marthi. Jest jeszcze bledsza i zaraziła się wysypką. Skórę ma suchą jak jaszczurka. Jest nieszczęśliwa z powodu swojej ociężałości. Jak szalona opowiada o tym, że jej mąż znajdzie ogromne skarby i że ona będzie się z nimi afiszować przed tymi, którzy skazali nas na wygnanie. Wyobraża sobie, że gdy tylko gołąb pocztowy dotrze do Jamaillii, Satrapa wyśle szybki statek, żeby zabrał nas do miasta, gdzie jej dziecko urodzi się w dostatku i bezpieczeństwie. Jej mąż wrócił na krótko z wieży, żeby przynieść jej małą szkatułkę biżuterii. Na matowych włosach ma siateczkę z połączonych w łańcuchy klejnotów, a błyszczące bransolety zwisają z jej chudych nadgarstków. Unikam Marthi, bo inaczej powiem jej, że jest głupia. Tak naprawdę nie jest, tyle tylko że ma zbyt wybujałe nadzieje. Nienawidzę tych bogactw, których nie możemy ani zjeść, ani wypić, ponieważ wszyscy skupili się na nich i z własnej woli głodują, pragnąc zgromadzić ich jeszcze więcej. Pozostałości Towarzystwa utworzyły różne frakcje. Mężczyźni pozawierali sojusze i podzielili miasto na odrębne terytoria. Zaczęło się od sporów o stopy porzuconych rzeczy i znalezione skarby oraz od oskarżeń o ich podkradanie. Szybko doprowadziło to do powstania grup, z których jedne strzegły skarbów, a inne ogołacały miasto z bogactw. Doszło do tego, że mężczyźni uzbrajają się w pałki i noże i wystawiają strażę, które pilnują zajętych korytarzy. Ale miasto to labirynt i prowadzi przez nie wiele dróg. Mężczyźni walczą ze sobą o łupy. Ja i moi synowie przebywamy na Wielkiej Platformie z ludźmi chorymi, starymi, małymi dziećmi i kobietami w ciąży. Tworzymy własne sojusze, ponieważ gdy mężczyźni zajęci są kradzieżą, nikt nie zbiera żywności.

Łucznicy, którzy zdobywali dla nas mięso, teraz polują na skarby. Mężczyźni, którzy zastawiali pułapki na bagienne króliki, teraz zastawiają pułapki na siebie nawzajem. Jathan wrócił na platformę, zjadł wszystko, co zostało z naszych zapasów, po czym znowu wyszedł. Na mój gniew zareagował śmiechem, mówiąc, że martwię się o korzonki i nasiona, podczas gdy zbierać trzeba kamienie szlachetne i monety. Ucieszyłam się, gdy wrócił do miasta. Niech go pochłonie! Wszelkie pożywienie, jakie udaje mi się teraz znaleźć, natychmiast daję chłopcom lub sama zjadam. Gdy tylko obmyślę jakąś skrytkę, zacznę je tam odkładać.

Petrus, dla którego miasto jest terenem zakazanym, znowu zaczął gromadzić pożywienie, i to z dobrym skutkiem. Dzisiaj wrócił z trzciniami podobnymi do tych, które uprawiali chłopcy na mozaice w mieście. Powiedział mi, że ludzie z miasta nie uprawialiby ich, gdyby nie miały jakiegoś zastosowania, i że powinniśmy odkryć, co to było. Bardziej zaniepokoiłam się, gdy oznajmił, że pamięta, iż teraz jest pora ich zbioru. Kiedy powiedziałam mu, że nie może pamiętać nic takiego, pokręcił głową i wymamrotał coś o „wspomnieniach z miasta”.

Mam nadzieję, że z czasem wpływ tego dziwnego miejsca zniknie.

Wysypka pogorszyła się u Carlmina, atakując policzki i brwi. Zrobiłam mu okłady w nadziei, że ustąpi. Mój młodszy syn niemal się do mnie tego dnia nie

odzywał i boję się, co zajmuje jego myśli.

Moje życie stało się tylko czekaniem. W każdej chwili mąż może wrócić z miasta i oświadczyć, że czas już zacząć wędrówkę w dół rzeki. Teraz, gdy wiem, że wkrótce porzucimy to miejsce, nic, co bym jeszcze zbudowała, nie miałoby znaczenia.

Olpeya nie znaleziono. Petrus obwinia się o to. Chellia bliska jest obłądu ze zgryzoty. Przyglądam jej się z oddali, ponieważ już ze mną nie rozmawia.

Zaczepia każdego mężczyznę wracającego z miasta, domagając się wieści o swoim synu. Większość z nich ignoruje ją, niektórzy wpadają w gniew. Wiem, czego ona się obawia, bo ja też się tego boję. Myślę, że Olpey wrócił do miasta.

Uważał, że skarby należą do niego, ale ponieważ nie ma ojca i jest gminnego pochodzenia, któż uszanowałby jego prawa? Czy zabili chłopca? Wiele bym dała za to, żeby nie czuć się tak winna w jego sprawie. Cóż mogę zrobić? Nic.

Dlaczego więc czuję się tak źle? Jaką korzyść przyniosłoby komukolwiek narażenie Petrusa na kolejną wizytę w mieście? Czyż zniknięcie jednego chłopca nie jest wystarczająco tragiczne?

Dzień ósmy miasta Pierwszy rok Deszczowych Ostepów

Dzisiaj w południe wrócił Jathan. Dźwigał kosz ze skarbami, biżuterią, osobliwymi zdobieniami, narzędziami z dziwnego metalu i splecioną z metalowych ogniw portmonetką pełną dziwacznie wybitych złotych monet.

Twarz miał całą w sińcach. Opryskliwie powiedział, że ma dość, że chciwość panująca w mieście jest bez sensu. Oświadczył, że dogonimy tych, którzy odeszli. Według niego w mieście nie ma już dla nas nic dobrego i mądrzej

będzie uciec z tym, co ma, niż walczyć o więcej i tam zginąć.

Nie jadł, odkąd nas opuścił. Zrobiłam mu pikantną herbatę z kory i papkę z korzeni lili i nakłoniłam, żeby opowiedział, co się dzieje pod ziemią.

Z początku mówił tylko o naszym Towarzystwie i o tym, co tam robili.

Z goryczą oskarżył ich o zdradę i oszustwo. Doszło do rozlewu krwi z powodu skarbu. Podejrzewam, że Jathan został przepędzony z tym, co zdołał unieść. Ale jest gorsza wiadomość. Niektóre części miasta się zapadają. Zamknięte drzwi otwierano siłą, co miało katastrofalne następstwa. Niektóre nie były zamknięte na klucz, ale nie otwierały się z powodu napierającej na nie ziemi. Teraz błoto powoli wpływa przez nie, stopniowo zalewając korytarze. Niektóre są już niemal nie do przejścia, ale ludzie lekceważą niebezpieczeństwo, próbując uratować bogactwa, zanim te zostaną pogrzebane na zawsze. Wydaje się, że wpływające błoto osłabia starożytną magię miasta. Wiele komnat pogrąża się w ciemności. Światła rozbłyskują jasno, po czym przygasają. Muzyka rozbrzmiewa głośno, a następnie cichnie do szeptu.

Gdy zapytałam, czy to go przestraszyło, gniewnie odparł, żebym była cicho i żebym przypomniiała sobie o szacunku dla niego. Wykpił moją uwagę, że uciekł. Powiedział, że jest oczywiste, iż starożytne miasto wkrótce zapadnie się pod ciężarem bagna, i że nie ma najmniejszego zamiaru tam zginąć. Nie wierzę,

by powiedział mi wszystko, ale przyznaję, że chyba cieszę się, iż miał dość rozumu, aby stamtąd wyjść. Kazał mi przygotować dzieci do podróży i zebrać całą żywność, jaką mamy.

Niechętnie go posłuchałam. Petrus, który wyglądał na uspokojonego, zerwał się do pakowania naszego mizernego dobytku. Carlmin siedział bez słowa i zdrapywał okład z wysypki. Pospiesznie przyłożyłam następny. Nie chciałam, żeby Jathan zobaczył miedziane łuski na skórze swojego syna. Wcześniej próbowałam oderwać jeden strup, ale gdy go zdrapywałam, Carlmin płakał, a skóra pod nim krwawiła. Wygląda to tak, jakby rosła mu rybia łuska. Staram się nie myśleć o wysypce na moim kręgosłupie. Robię ten wpis w pośpiechu, po czym starannie zawinę notatnik i włożę go do mojego koszyka. Niewiele więcej można tam włożyć.

Niechętnie opuszczam to, co zbudowałam, ale nie potrafię zignorować ulgi, jaka pojawiła się w oczach Petrusa, gdy jego ojciec powiedział, że wyruszamy. Wolałabym, żebyśmy nigdy nie weszli do tego miasta. Gdyby nie to nawiedzone miejsce, być może moglibyśmy zostać tutaj i tutaj byłby nasz dom. Podróż przeraża mnie, ale nic nie można na to poradzić. Może gdy wyprowadzimy stąd Carlmina, znowu zacznie mówić.

Później

Będę pisać pospiesznie, a później zabiorę ten notatnik do miasta. Jeśli kiedykolwiek moje ciało zostanie odnalezione, być może jakiś dobry człowiek dostarczy go do Jamaillii, dzięki czemu moi rodzice dowiedzą się, czym się stała Carillion Waljin i gdzie dokonała żywota. Najprawdopodobniej jednak zostanie

na zawsze pogrzebany wraz ze mną w błocie wewnątrz ukrytego miasta.

Skończyłam pakowanie, gdy przyszła do mnie Chellia z Tremartinem.

Mężczyzna był wychudły, a jego strój pokrywało zaschnięte błoto. W końcu on i Retyo znaleźli Olpeya w mieście, ale chłopak stracił rozum. Zabarykadował drzwi i nie wyjdzie stamtąd. Żeglarz został przy drzwiach, starając się, żeby błoto zalewające przejście się do nich nie dostało. Tremartin nie wie, jak długo uda mu się je powstrzymać. Retyo uważa, że Petrus mógłby namówić Olpeya do otwarcia drzwi. Tremartin i Chellia przyszli do nas błagać o tę przysługę. Nie mogłam dłużej ignorować rozpaczki w oczach mojej przyjaciółki i byłam zawstydzona, że tak długo to czyniłam. Powiedziałam do Jathana, że możemy pójść prosto do miejsca, w którym przebywa chłopiec, przekonać go, żeby wyszedł, po czym wspólnie wszyscy wyruszyć. Staralam się nawet przekonywać go, że taka większa grupa lepiej sobie poradzi w Deszczowych Ostępach.

Nie wziął mnie na stronę ani nie zniżył głosu, gdy dopytywał się, dlaczego miałby ryzykować życie swojego syna i spadkobiercy dla chłopaka praczki, którego nie zatrudnilibyśmy nawet jako służącego, gdybyśmy nadal byli w Jamaillii. Zgromił mnie za to, że pozwoliłam, by Petrus przywiązał się do

takiego prostego chłopaka, po czym ostro oświadczył, że bardzo się pomyliłam, jeśli uważałam go za głupca, który nie wie o Retyo. Powiedział jeszcze wiele obrzydliwych rzeczy. Mówił o tym, jaką to jestem ladaczną, że wzięłam mężczyznę z gminu do łóżka, które prawnie należy się lordowi, i że podstępnie popierałam prostego żeglarza, gdy zgłosił chęć objęcia przywództwa w Towarzystwie.

Nie będę opisywać już innych jego żenujących oskarżeń. Tak naprawdę nie wiem, dlaczego nadal potrafi doprowadzić mnie do łez. W końcu przeciwstawiłam się mu. Gdy powiedział, że albo pójdę z nim teraz, albo w ogóle, odparłam: „W ogóle. Zostanę i pomogę przyjaciółce, bo nie obchodzi mnie, jaką pracę wykonywała. Tutaj jest moją przyjaciółką”.

Ta decyzja dużo mnie kosztowała. Jathan wziął ze sobą Petrusa. Widziałam, że mój starszy syn jest rozdarty, a mimo to chce uciec z ojcem. Nie winię go. Jathan zostawił Carlmina, mówiąc, że wskutek moich błędów stał się kretynem i dziwolągiem. Carlmin zdrapał okład z twarzy, odsłaniając łuski, które obejmują teraz brwi i górną część policzków. Mój chłopczyk nawet nie mrugnął na słowa ojca. W ogóle nie zareagował. Ucałowałam Petrusa i obiecałam mu, że wyruszę za nim najszybciej, jak będę mogła. Mam nadzieję, że uda mi się dotrzymać tej obietnicy. Jathan i Petrus zabrali tyle naszych rzeczy, ile byli w stanie unieść. Gdy wyruszę z Carlminem, nie będziemy mieli zbyt wielu zapasów, dopóki ich nie dogonimy.

Teraz zapakuję ten notatnik i wrzucę go, razem z piórem i kałamarzem, do małego podręcznego koszyka, który mi zostawili. Są tam jeszcze materiały na

pochodnie i do rozpalania ognia. Któż może wiedzieć, kiedy znowu coś zapiszę?

Jeśli czytacie te słowa, moi rodzice, wiedźcie, że kochałam was do śmierci.

Dzień dziewiąty miasta, jak sądzę Pierwszy rok Deszczowych Ostępów

Jakże głupi i melodramatyczny wydaje mi się teraz mój ostatni wpis do dziennika.

Kreślę to pośpiesznie, żeby zdążyć, nim zapadnie ciemność. Moi przyjaciele cierpliwie na mnie czekają, chociaż Chellia uważa, że głupio robię, upierając się przy pisaniu, zanim pójdziemy dalej.

Nie minęło jeszcze dziesięć dni, odkąd po raz pierwszy zobaczyłam to miasto, ale postarzało się ono o całe lata. Gdy wchodziliśmy, wyraźnie widać było mnóstwo błotnistych śladów stóp i wszędzie widziałam oznaki grabieży. Jak zagniewani chłopcy poszukiwacze skarbów zniszczyli to, czego nie mogli zabrać, odłupując płytki z mozaiki, odłamując kończyny posągom zbyt wielkim, żeby je nieść, i używając pięknych starych mebli jako opału. Chociaż to miasto wzbudza moje przerażenie, ogarnia mnie smutek, gdy widzę je splądrowane i spustoszone. Przez lata opierało się bagnu po to tylko, by w parę dni paść łupem naszej chciwości.

Jego magia słabnie. Tylko niektóre części wielkiej komnaty były oświetlone.

Smoki na suficie przygasły. Wspaniały posąg kobiety ze smokiem nosił ślady przypadkowych uderzeń młotkiem. Nefryt i kość słoniowa z koszyka władczyni pozostały poza zasięgiem poszukiwaczy skarbów. Reszta pawilonu była w gorszym stanie. Fontannę z rybą ktoś wykorzystał jako wielkie naczynie na swoje skarby. Mężczyzna stojący na czubku sterty zrabowanych przedmiotów z nożem w jednej ręce, a pałką w drugiej krzyknął do nas, że zabije każdego złodzieja, który się zbliży. Wyglądał tak dziko, że mu uwierzyliśmy.

Wstydziłam się za niego i patrzyłam w bok, gdy pospiesznie go mijaliśmy.

W pomieszczeniu płonęły ogniska, przy każdym były skarby i strażnik. Z oddali dobiegały nas czyjeś słowa, a czasami prowokacyjne okrzyki i odgłosy walenia młotem. Spostrzegłam czterech mężczyzn wspinających się po schodach z ciężkimi workami łupów.

Tremartin zapalił jedną z naszych pochodni od porzuconego ogniska.

Opuściliśmy komnatę tą samą drogą co poprzednio. Carlmin, milczący od rana, zaczął nucić dziwną i chaotyczną melodię, od której włosy jeżyły mi się na karku. Prowadziłam go naprzód, podczas gdy dziewczynki Chellii, trzymając się za ręce i idąc za nami w półmroku, popłakiwały cicho.

Minęliśmy strzaskane drzwi komnaty. Gęste błoto z wodą wylewało się z pomieszczenia. Zajrzałam do środka – przez szerokie pęknięcie na tylnej ścianie wpływało błoto, które wypełniło pokój. A jednak ktoś tam wszedł i szukał skarbów. Spleśniałe obrazy zerwano ze ścian i rzucono w sięgające coraz wyżej błoto. Przyspieszyliśmy kroku.

Na skrzyżowaniu korytarzy zobaczyliśmy przesuwającą się z wolna falę

błota i usłyszeliśmy dobiegające z oddali głucho skrzypienie, jakby drewniane belki ustępowały powoli. Niemniej jednak na skrzyżowaniu tym stał strażnik, który ostrzegł nas, że wszystko, co jest za nim, należy do niego i jego przyjaciół. Oczy błyszczały mu jak u dzikiej bestii. Uspokoił się, że szukamy tylko zagubionego chłopca, i pospieszyliśmy dalej. Usłyszeliśmy, jak za nim zaczynają walić młoty, i domyśliliśmy się, że jego przyjaciele wylamują następne drzwi.

„Powinniśmy się pospieszyć” – rzekł Tremartin. – „Kto wie, co będzie za następnymi drzwiami, które wylamią. Nie zrezygnują, dopóki nie wleje się tu rzeka. Zostawiłem Retyo przed drzwiami Olpeya. Obaj baliśmy się, że mogą nadejść inni i pomyśleć, że pilnuje skarbu”.

„Chcę tylko swojego chłopca. Wtedy z chęcią opuszczę to miejsce” – powiedziała Chellia.

Nadal mamy na to nadzieję.

Niewiele mogę napisać o innych rzeczach, które widzieliśmy, ponieważ światło mruga. Widzieliśmy mężczyzn ciągnących skarb, którego nigdy nie zdołają przenieść przez bagno. Przez chwilę atakowała nas kobieta o szalonym wzroku, która wrzeszczała: „Złodzieje, złodzieje!” Przewróciłam ją i uciekliśmy. Biegając, dostrzegliśmy na podłodze wilgoć, potem wodę, a w końcu wlewające się błoto. Błoto wciągało nasze stopy, gdy przechodziliśmy

przez mały pokój z toaletką, w którym znaleźliśmy Olpeya za pierwszym razem. Jest zniszczony, piękną toaletkę porąbano na kawałki. Tremartin poprowadził nas bocznym korytarzem, którego nie zauważyłam, następnie zaś w dół wąskimi schodami. Czułam zapach stojącej wody. Staralam się nie myśleć o napierającej mokrej ziemi, gdy schodziliśmy kolejnymi, krótszymi schodami, a potem weszliśmy do szerokiego holu. Drzwi, które teraz mijaliśmy, były z metalu. Widać było ślady po uderzeniach młotem, ale wytrzymały oblężenie poszukiwaczy skarbów.

Gdy minęliśmy skrzyżowanie, usłyszeliśmy odległy trzask, jakby grzmot, po czym mężczyźni zaczęli krzyczeć z przerażenia. Nienaturalne pręgi światła rozbłysły na ścianach i zgasły. Chwilę później przebiegli obok nas poszukiwacze, uciekając drogą, którą przyszlismy. Za nimi pędził potok, który zmoczył nas do kostek, a który toczył się tym wolniej, im był szerszy. Wtedy rozległo się głucho i złowieszcze dudnienie. „Idziemy!” – polecił Tremartin i poszliśmy za nim, chociaż myślę, że wszyscy wiedzieliśmy, iż wystawiamy się na coraz większe niebezpieczeństwo, zamiast go unikać.

Minęliśmy jeszcze dwa zakręty. Materiał, z którego zbudowano ściany, zmienił się nagle z ogromnych szarych bloków w gładki czarny kamień, przetykany gdzieniegdzie srebrnymi żyłkami. Zeszliśmy po długich schodach o niskich stopniach i nagle korytarz się rozszerzył, a sufit podniósł, jakbyśmy opuścili część dla służby i wkroczyli do części dla szlachetnie urodzonych. Zagrabiono posągi z nisz. Pośliznęłam się na plamie wilgoci. Gdy oparłam się ręką o ścianę, żeby nie stracić równowagi, nagle ujrzałam wokół nas mnóstwo

ludzi. Ich stroje i zachowanie były dziwne. Był to dzień targowy, pełen światła, odgłosów rozmów i intensywnego zapachu wypieków. Życie miasta zawiroowało wokół mnie. Po chwili Tremartin złapał mnie za rękę i odciągnął od ściany.

„Nie dotykajcie czarnego kamienia” – ostrzegł nas. – „Przenosi w świat duchów. Idziemy. Chodźcie za mną”. W oddali zobaczyliśmy jaśniejszy błysk ognia zawstydzający niespokojnie migoczące światło.

Ogniem tym okazała się pochodnia Retyo. Żeglarz był usmarowany od stóp do głów. Nawet gdy nas zauważył, nie przestał odgarniać prymitywną drewnianą łopatą błota od drzwi. Strumień wodnistego mułu płynął nieprzerwanie przez cały hol; nawet dziesięciu mężczyzn nie mogłoby go powstrzymać. Jeśli Olpey nie otworzy szybko drzwi, zostanie uwięziony w środku, gdy muł wypełni korytarz.

Zrobiłam krok i stanęłam w płytkim wgłębieniu, od którego Retyo odsuwał błoto. Nie zważając na błoto za sobą, nie zważając na to, że mój syn i przyjaciółka przyglądają mi się, objęłam go. Gdybym miała czas, zrobiłabym to, o co oskarżał mnie mąż. Być może w duchu już jestem wiarołomną żoną.

Mało mnie to jednak obchodzi. Dochowałam wierności przyjaciołom.

To był krótki uścisk. Nie mieliśmy czasu. Wołaliśmy Olpeya przez drzwi, ale milczał, dopóki nie usłyszał płaczu swoich siostrzyczek. Wtedy gniewnie kazał nam odejść. Matka błagała go, by wyszedł, mówiąc, że miasto osiada i że

błoto wkrótce go uwięzi. Odparł, że tu jest jego miejsce, że zawsze tu żył i że tu właśnie umrze. Gdy my krzyczeliśmy i błagaliśmy, Retyo z determinacją pracował, odsuwając napływające błoto od progu. Kiedy nasze prośby nie poskutkowały, on i Tremartin zaatakowali drzwi. Mocne drewno nie ustępowało jednak ani kopnięciom, ani uderzeniom pięści, a nie mieliśmy żadnych narzędzi. Tremartin szepnął głucho, że musimy go zostawić. Mówił to ze łzami w oczach. Mężczyźni nie nadawali już odsuwać błota, a my musieliśmy myśleć o pozostałej trójce dzieci.

Głos Chellii przeszedł w krzyk protestu, ale utonął w niosącym się za nami echem bulgotaniu. Coś wielkiego musiało nie wytrzymać naporu. Błota było nagle dwukrotnie więcej, ponieważ teraz docierało z obu stron. Tremartin podniósł pochodnię. Na obu końcach korytarza panowała ciemność. „Otwórz drzwi, Olpey – proszę – bo wszyscy tu zginiemy w błocie. Wpuść nas, w imię Sa!”

Nie wydaje mi się, żeby mnie posłuchał. To raczej podniesiony głos Carlmina, wydającego rozkaz w języku, którego nigdy nie słyszałam, w końcu wywołał reakcję. Usłyszeliśmy odsuwanie rygli, po czym drzwi z trudem, przebijając się przez błoto, otworzyły się ze skrzypieniem. Rozświetlona komnata oślepiła nas, gdy do niej wpadliśmy. Woda i błoto próbowały dostać się za nami na bogato zdobioną kafelkami podłogę, ale Tremartin i Retyo z wysiłkiem zamknęli drzwi, choć żeglarz musiał opaść na kolana i usunąć muł, żeby się to udało. Woda z domieszką mułu nieprzerwanie wdzierała się do środka pod zamkniętymi drzwiami.

Była to najlepiej zachowana komnata, jaką widziałam. Wszystkich nas olśniło bogactwo komnat i krótkie, złudne poczucie bezpieczeństwa pośród dziwności. Na półkach z błyszczącego drewna stały cudowne wazy i małe, kamienne posążki; misterne rzeźby i srebrne ozdoby szerniały z czasem. Małe, kręcone schody prowadziły w górę, do miejsca, które znajdowało się poza zasięgiem naszego wzroku. Każdy ich stopień był oświetlony. Wyposażenie pokoju mogłoby wkupić z powrotem całe Towarzystwo w łaski Satrapy, ponieważ przedmioty były i piękne, i dziwne. Olpey przyklęknął opiekuńczo, żeby zwinąć dywan, któremu groziło zalanie przez muł. W jego rękach był giętki, a gdy strzepnął zeń kurz, ukazały się jaskrawe kolory. Przez kilka chwil nikt nic nie mówił. Gdy Olpey stanął przed nami, zaparło mi dech w piersi. Miał na sobie szatę, która przy każdym jego ruchu mieniała się barwami. Na czole nosił kilka połączonych metalowych dysków, które zdawały się jaśnieć własnym światłem. Chellii nie ośmieliła się go uściskać. Mrugnął jak sowa, a ona z wahaniem zapytała, czy ją poznaje.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili. „Śniłaś mi się kiedyś”. Po czym, rozejrzawszy się po pokoju, rzekł zmartwionym głosem: „Albo może ja wstąpiłem w sen. Tak strasznie trudno to odróżnić”.

„Zbyt często dotykał tej czarnej ściany” – warknął Tremartin. – „Ona budzi duchy i kradnie duszę. Dwa dni temu widziałem mężczyznę, który siedział

plecami do ściany i opierał o nią głowę. Uśmiechał się, gestykulował i rozmawiał z ludźmi, których nie było”.

Retyo kiwnął posępnie głową. „Nawet gdy się jej nie dotyka, trzeba całej siły woli, żeby utrzymać duchy z dala po spędzeniu tu jakiegoś czasu w ciemności”. Po czym niechętnie dodał: „Może być już za późno, żeby Olpey całkowicie do nas wrócił, ale nie zawadzi spróbować. Wszyscy musimy możliwie najlepiej strzec własnych umysłów, rozmawiając ze sobą.

I wyprowadzić stąd maluchy, najszybciej jak się da”.

Zrozumiałam, co ma na myśli. Olpey podszedł do małego stolika w rogu.

Srebrny czajniczek czekał przy srebrnej filiżance. Gdy w milczeniu patrzyliśmy, przechylił czajniczek nad filiżanką, nie nalewając do niej niczego, po czym szybko ją opróżnił. Wytarł usta grzbietem dłoni i zrobił minę, jakby właśnie napił się zbyt mocnego trunku.

„Jeśli mamy wyjść, musimy wyjść teraz” – powiedział Retyo. Nie potrzebował dodawać „zanim będzie za późno”. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Ale już było za późno. Pod drzwiami stale wpływała woda, a gdy mężczyźni próbowali je otworzyć, nie zdołali ich ruszyć. Nawet kiedy wszyscy dorośli natarli na nie barkami, nie drgnęły. A wtedy światła zaczęły złowieszczo mrugać.

Nacisk błota na drzwi nasila się tak, że aż trzeszcza. Muszę się spieszyć.

Schody prowadzą w kompletną ciemność, a pochodnie, które zrobiliśmy z rzeczy znajdujących się w pokoju, nie wytrzymają długo. Olpey zachowuje się jak ogłuszony, a Carlmin jest w niewiele lepszym stanie. Ledwie nam

odpowiada jakimiś mruknięciami. Mężczyźni poniosą chłopców, Chellia zaś poprowadzi swoje dziewczynki. Ja poniosę zapas pochodni. Pójdziemy tak daleko, jak się da, w nadziei, że znajdziemy inną drogę powrotną do komnaty z kobietą i smokiem.

Dzień – nie wiem który Pierwszy rok Deszczowych Ostępów

Taki dałam nagłówek tej relacji, ponieważ nie mamy najmniejszego pojęcia, ile czasu upłynęło. Mnie się wydaje, że były to lata. Drzę, ale nie jestem pewna, czy z zimna, czy z wysiłku, żeby pozostać tym, kim jestem. Kim byłam.

W głowie mi się kręci od różnic i mogłabym się w nich utopić, gdybym się poddała. Jeśli jednak ta relacja ma się w ogóle komuś przydać, muszę przywołać swoją dyscyplinę i przedstawić myśli w sposób uporządkowany.

Gdy wchodziliśmy po schodach, światło w komnacie przygasło, po czym zapanowała ciemność. Tremartin dzielnie uniósł pochodnię, ale ta ledwo oświetlała jego głowę i ramiona. Nigdy nie zetknęłam się z tak absolutną ciemnością. Tremartin chwycił Olpeya za nadgarstek i zmusił chłopca, żeby poszedł za nim. Jego śladem podążał niosący Carlmina Retyo, potem zaś szła Chellia prowadząca drżące córki. Ja kroczyłam na końcu, obładowana prymitywnymi pochodniami zrobionymi z mebli i zasłon. Chwył za nadgarstek

rozwścieczył Olpeya. Chłopak rzucił się na Retyo i ten musiał uderzyć go otwartą dłonią w twarz, żeby przestał. Otumaniło to uciekiniera i przeraziło jego matkę i siostry, ale zrobił się uległy, o ile nie skłonny do współpracy.

Schody prowadziły do pokoju służby. Bez wątpienia arystokraci z położonej niżej komnaty dzwonkiem wzywali swoich służących, a ci pędzili spełnić ich życzenie. Widziałam drewniane balie, być może służące do mycia, a zanim Tremartin kazał nam się pospieszyć, kątem oka zauważyłam też stół do pracy. Było tylko jedno wyjście. Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, w korytarzu panowała ciemność.

Trzask płonącej pochodni wydawał się głośny; oprócz niego słychać było jedynie kapanie wody. Bałam się tej ciszy. Tuż za nią czaiły się muzyka i upiorne głosy.

„Płomień płonie równo” – zauważyła Chellia. – „Nie ma przeciągów”.

Nie pomyślałam o tym, ale miała rację. „Oznacza to tylko, że między nami a wyjściem na zewnątrz są drzwi”. Nawet ja wątpiałam w swoje słowa. „Drzwi, które musimy znaleźć i otworzyć”.

„W którą stronę idziemy?” – Tremartin zwrócił się z pytaniem do wszystkich. Już dawno straciłam orientację, więc się nie odzywałam.

„Tędy” – odpowiedziała Chellia. – „Myślę, że ta droga prowadzi w stronę, z której przyszliśmy. Może natkniemy się na coś, co rozpoznamy, a może światło znowu się zapali”.

Nie miałam lepszej propozycji. Oni prowadzili, a ja szłam na końcu. Każdy z nich miał kogoś, kogo mocno chwycił, żeby trzymać z dala od siebie duchy

miasta. Ja trzymałam w ramionach tylko tobołek z pochodniami. Moi przyjaciele wyglądali jak cienie między mną a drżącym światłem pochodni. Gdy spojrzałam w górę, światło pochodni oślepiło mnie. Patrząc w dół, widziałam wokół swoich stóp skrzaci taniec cieni. Na początku słyszałam jedynie nasze ciężkie oddechy, szuranie stóp na wilgotnym kamieniu i trzask pochodni. Potem zaczęłam słyszeć inne odgłosy, a może wydawało mi się, że je słyszę – nierówne kapanie wody i, raz, przeciągły dźwięk, jakby coś w oddali ustąpiło pod jakimś naporem.

I muzykę. Była to muzyka cieniutka jak rozwodniony atrament, przytłumiona grubą warstwą kamienia i czasu, ale dosięgła mnie. Zdecydowana byłam posłuchać rady mężczyzn i zignorować ją. Aby moje myśli pozostały moimi, zaczęłam nucić starą jamailliańską kołysankę. Dopiero gdy Chellia syknęła na mnie: „Carillion!”, uświadomiłam sobie, że nucenie przeszło w niesamowitą piosenkę z kamienia. Przerwałam, przygryzając wargę. „Podaj mi następną pochodnię. Najlepiej będzie zapalić nową, nim ta całkiem się wypali”. Gdy Tremartin wypowiedział te słowa, uświadomiłam sobie, że już dwukrotnie zwracał się do mnie. Osłupiała wystąpiłam naprzód, wręczając mu niesiony w ramionach ładunek prowizorycznych pochodni.

Pierwsze dwie, które wybrał, wykonaliśmy z szali owiniętych wokół nóg stołu. W ogóle się nie zapaliły. Z czegokolwiek utkano te szale, nie chciały się zająć.

Trzecia pochodnia zrobiona była z poduszki przywiązanej z grubsza do nogi krzesła. Płonąc, wydzielała dużo dymu i obrzydliwy fetor. Nie mogliśmy jednak wybrzydząć i trzymając wysoko płonąca poduszkę oraz przygasając pochodnię, powoli szliśmy naprzód. Gdy pochodnia stała się tak krótka, że płomień niemal lizał palce Tremartina, ten musiał ją rzucić i do oświetlania drogi pozostała nam już tylko tłąca się poduszka. Ciemność podeszła bliżej niż wcześniej, a od obrzydliwego smrodu rozboleła mnie głowa. Wlokłam się noga za nogą, przypominając sobie, jak wokół moich szorstkich palców zaplątał się długi, nieprzyjemny w dotyku włos, gdy obwiązywałam nim poduszkę, żeby była bardziej sprężysta i dłużej się paliła.

Retyo potrząsnął mną mocno, po czym w moich objęciach znalazł się pociągający nosem Carlmin. „Chyba powinnaś chwilę ponieść syna” – odezwał się żeglarz, nie ganiąc mnie, gdy zatrzymał się, by zebrać zapasowe pochodnie, które upuściłam. Znajdująca się przed nami w ciemności reszta grupy wyglądała jak cienie w cieniach, z czerwoną plamą naszej pochodni. Po prostu się zatrzymałam. Ciekawe, co by się ze mną stało, gdyby Retyo nie zauważył mojej nieobecności. Nawet gdy rozmawialiśmy, miałam wrażenie, że jestem dwiema osobami.

„Dziękuję” – powiedziałam zawstydzona.

„Nie ma za co. Trzymaj się blisko” – odparł.

Poszliśmy dalej. Przytłaczający ciężar Carlmina sprawiał, że byłam skoncentrowana. Po jakimś czasie postawiłam go na podłodze i zmusiłam, żeby szedł obok mnie, ale myślę, że to było dla niego lepsze. Po tym, jak wpadłam

w sidła zastawiane przez duchy, postanowiłam mieć się bardziej na baczności.

Mimo to, gdy tak kroczyłam przez ciemność z otwartymi oczami, przez moją głowę przebiegały fragmenty dziwacznych snów, fantazje i odgłosy rozmów prowadzonych w oddali. Niezmordowanie wlekliśmy się naprzód. Dały o sobie znać głód i pragnienie. Przesączająca się strumyczkami woda była gorzka, ale i tak oszczędnie ją piliśmy.

„Nienawidzę tego miasta” – powiedziałam do Carlmina. Jego mała dłoń, skryta w mojej, stawała się coraz zimniejsza, w miarę jak zasypane miasto kradło nam ciepło ciał. – „Pełno w nim pułapek i sideł. Są tu pokoje pełne błota, które chce nas pochłonąć, i duchy próbujące ukraść nam dusze”.

W równej mierze mówiłam do siebie jak do niego. Nie liczyłam na odpowiedź, ale wówczas rzekł powoli: „Nie zbudowano go, by panowały w nim ciemność i pustka”.

„Może i nie, ale teraz właśnie tak jest. A duchy tych, którzy je zbudowali, próbują ukraść nam dusze”.

Bardziej usłyszałam, niż zobaczyłam jego grymas niezadowolenia. „Duchy? To nie duchy. To nie złodzieje”.

„Kim więc są?” – zapytałam go głównie dlatego, żeby nadal mówił.

Milczał chwilę. Wsłuchiwałam się w odgłosy naszych kroków i oddechów.

Potem powiedział: „To nie ludzie. To ich sztuka”.

Sztuka wydawała mi się teraz czymś odległym i bezużytecznym. Kiedyś wykorzystywałam ją do usprawiedliwiania swojego istnienia.

Obecnie była dla mnie próżniactwem i wybiegiem, czymś, czym się zajmowałam, żeby ukryć marność swojego codziennego życia. Słowo to sprawiało, że niemal się wstydziałam.

„Sztuka” – powtórzył. Gdy mówił dalej, wcale nie odnosiło się wrażenia, że jest małym chłopcem. – „Sztuka to sposób definiowania i wyjaśniania sobie nas samych. W tym mieście uznaliśmy, że codzienne ludzkie życie jest sztuką miasta. Z każdym rokiem coraz silniejsze były trzęsienia ziemi, burze piaskowe i opady popiołu. Schowaliśmy się przed tym, zamykając nasze miasta i kryjąc je pod ziemią. Wiedzieliśmy jednak, że nadejdzie czas, gdy nie zdołamy się oprzeć samej ziemi. Jedni chcieli wyjechać i pozwoliliśmy im na to. Nikogo nie zmuszaliśmy do pozostania. W naszych tętniących życiem miastach była już tylko garstka ludzi. Na jakiś czas ziemia się uspokajała, ale powtarzające się wstrząsy przypominały nam, że nasze życie jest codziennie zagrożone i może się skończyć w każdej chwili. Jednak wielu z nas uznało, że skoro żyliśmy tutaj od pokoleń, tutaj też umrzemy. Nasze jednostkowe istnienie, bez względu na jego długość, tutaj dobiegnie końca. Ale nie nasze miasta. Nie. Nasze miasta będą żyć dalej i przypominać o nas. Przypominać o nas... Będą przywoływać nas do domu, ilekroć ktoś przebudzi echa nas samych, które tu zgromadziliśmy.

Wszyscy tu jesteśmy, całe nasze bogactwo i złożoność, wszystkie nasze radości i smutki...” – Jego głos ucichł, gdy ponownie pograżył się we wspomnieniach.

Zrobiło mi się zimno. „Magia, która przyzywa z powrotem duchy”.

„Nie magia. Sztuka”. – W jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

Nagle Retyo powiedział niepewnie: „Ciągle słyszę głosy. Niech ktoś ze mną porozmawia”.

Położyłam mu rękę na ramieniu. „Ja też je słyszę. Ale brzmią po jamailliańsku”.

Z bijącymi sercami nasza grupka pospieszyła w ich kierunku. Na następnym skrzyżowaniu korytarzy skręciliśmy w prawo i głosy stały się wyraźniejsze.

Krzyknęliśmy, a oni odkrzyknęli. W ciemnościach słyszeliśmy ich pospieszne kroki. Błogosławili naszą kopcącą czerwoną pochodnię – ich już się wypaliła.

Było to czterech młodych mężczyzn i dwie kobiety z Towarzystwa.

Przestraszeni podobnie jak my, ciągle kurczowo trzymali łupy. Nie posiadaliśmy się z radości, że ich znaleźliśmy, dopóki nie obrócili naszej ulgi

w rozpacz. Droga do świata Zewnętrznego była zablokowana. Byli w sali

z kobietą i smokiem, gdy usłyszeli dobiegające z pokojów na górze dudnienie.

Rozległ się głośny trzask, a następnie powolny jęk ustępujących belek. W miarę

jak zgrzytliwy dźwięk się nasilał, światła w wielkiej komnacie zaczęły mrugać,

a wodnisty muł spływać po ozdobnych schodach. Natychmiast rzucili się do

ucieczki, ale odkryli, że schody zablokowane są przez kamienie, które obruszyło

wdzierające się błoto.

W sali z kobietą i smokiem zebrało się około pięćdziesięciu osób, które

przygnał tutaj z powrotem złowieszczy odgłos. Gdy światła najpierw przygasły, a potem zupełnie zniknęły, jedni poszli w jednym kierunku, inni zaś w drugim, szukając drogi ucieczki. Nawet w takim niebezpieczeństwie wzajemne podejrzania o chęć kradzieży nie pozwoliły im połączyć sił. Budzili moją odrazę, co też im powiedziałam. Ku mojemu zaskoczeniu, przyznali mi z zażenowaniem rację. Potem chwilę staliśmy beczynnie w ciemności, słuchając, jak dopala się nasza pochodnia, i zastanawiając się, co robić. Nikt się nie odzywał, więc zapytałam: „Znacie drogę do komnaty ze smokiem?” Staralam się mówić spokojnie.

Jeden z mężczyzn powiedział, że zna.

„To musimy tam wrócić. I zgromadzić wszystkich ludzi, jakich się da, oraz wszystkie wiadomości na temat tego labiryntu. To nasza jedyna nadzieja na znalezienie wyjścia, zanim pochodnie się wypalą. W przeciwnym razie możemy się błąkać, dopóki nie umrzemy”.

Ponure milczenie wyrażało ich zgodę. Młody mężczyzna poprowadził nas z powrotem. Mijając splądrowane pokoje, zbieraliśmy wszystko, co nadawało się do spalenia. Wkrótce ci, którzy się do nas przyłączyli, musieli porzucić łupy, żeby móc nieść drewno. Myślałam, że będą się woleli rozstać z nami niż ze swoimi skarbami, ale postanowili zostawić je w jednym z pokoi. Oznaczyli swoje prawo do nich na drzwiach, dodając groźby pod adresem złodziei.

Uważałam, że to głupota, ponieważ oddałabym wszystkie klejnoty tego miasta za samą możliwość ujżenia znowu normalnego dziennego światła. Ruszyliśmy dalej.

W końcu dotarliśmy do komnaty z kobietą i smokiem. Poznaliśmy ją bardziej po odbijającym się w niej echu niż po tym, co zobaczyliśmy dzięki naszej zawodnej pochodni. Ciągłe tliło się tu małe ognisko, przy którym siedziało kilku nieszczęśników. Dołożyliśmy do niego drewna. To przyciągnęło pozostałych i wtedy krzyknęliśmy, żeby przywołać wszystkich, którzy zdołają nas usłyszeć. Wkrótce nasze małe ognisko oświetlało około trzydziestu ubłoconych i umęczonych osób. W blasku płomieni widziałam przestraszone blade twarze przypominające maski. Wielu z tych ludzi nadal ścisnęło tobołki z łupami i przyglądało się podejrzliwie innym. Było to niemal bardziej przerażające od powolnego zbliżania się gęstego błota, które spływało ze schodów. Ciężkie i gęste, ciekło nieubłagane i wiedziałam, że miejsce naszej zbiórki niedługo pozwoli nam się przed nim chronić.

Stanowiliśmy żalosną grupę. Niektórzy byli lordami i damami, inni kieszonkowcami i dziwkami, ale w tym miejscu staliśmy się w końcu równi sobie i dostrzegliśmy, kim naprawdę jesteśmy – zrozpaczonymi ludźmi, którzy są od siebie zależni. Zebraliśmy się u stóp posągu smoka. Retyo podszedł do jego ogona i nakazał nam: „Uciszcie się! Słuchajcie!”

Wszyscy przycichli. Słyszeliśmy trzaskanie ogniska, a potem dobiegły nas z oddali jęki drewna i kamienia oraz odgłosy przeciekania i kapania rzadkiego błota. Były to przerażające dźwięki i zastanawiałam się, dlaczego kazał nam się

w nie wsłuchiwać. Gdy przemówił, powitaliśmy jego głos z ulgą, ponieważ zagłuszył sygnały niebezpieczeństwa nadwerężonych ścian.

„Nie mamy ani chwili do stracenia na zamartwianie się skarbami czy kradzieżami. Możemy mieć nadzieję jedynie na to, że ujdziemy stąd z życiem, a i to tylko wtedy, gdy zdołamy zebrać wszystko, co wiemy. Nie marnujmy więc czasu na badanie korytarzy, które prowadzą donikąd. Czy jesteśmy co do tego zgodni?”

Po jego słowach zapadła cisza. Chwilę później odezwał się usmolony mężczyzna z brodą: „Zajęliśmy z partnerami korytarze zachodniego łuku. Badaliśmy je przez wiele dni. Nie ma tam żadnych schodów na górę, a główny korytarz kończy się zapadliskiem”.

Była to fatalna wiadomość, ale Retyo nie pozwolił nam się nad nią rozwodzić.

„No cóż. Ktoś jeszcze?”

Zapanowało niespokojne poruszenie.

Głos Retyo brzmiał stanowczo. „Ciągłe myślicie o łupach i tajemnicach.

Zostawcie je albo zostańcie tu z nimi. Ja chcę jedynie się stąd wydostać. Teraz.

Interesują nas wyłącznie schody na górę. Czy ktoś coś wie na ten temat?”

W końcu odezwał się z wahaniem jakiś mężczyzna. „Było dwoje ze wschodniego łuku. Ale... no cóż, ściana nie wytrzymała, gdy otworzyliśmy drzwi. Nie możemy się już do nich dostać”.

Pogrążyliśmy się w głębszym milczeniu, a światło ogniska zdawało się przygasać.

Gdy Retyo ponownie się odezwał, jego głos był beznamiętny. „Cóż, to tylko ułatwia nam sprawę. Będziemy mieli mniejszy obszar do przeszukania.

Potrzebujemy dwóch dużych grup poszukiwawczych, które będą się mogły dzielić na każdym skrzyżowaniu. Każda grupa oznaczy swoją trasę. Po drodze wchodźcie do wszystkich otwartych komnat i zawsze rozglądajcie się za prowadzącymi w górę schodami, ponieważ bez wątpienia jest to nasza jedyna droga ucieczki. Oznaczajcie każdą trasę, którą idziecie, żebyście mogli do nas wrócić”. – Odchrząknął. – „Nie muszę was ostrzegać. Jeśli drzwi się nie otworzą, zostawcie je w spokoju. Zawrzyjmy taki układ: ten, kto znajdzie drogę na zewnątrz, zaryzykuje życie, by tu wrócić i poprowadzić resztę. Wobec tych, którzy wyruszają na poszukiwanie, zostający tu zobowiązują się dbać o to, by ognisko nie zgasło, żebyście, jeśli nie znajdziecie drogi na zewnątrz, mogli tu wrócić, zabrać światło i podjąć następną próbę”. – Przyjrzał się uważnie wszystkim zwróconym w jego stronę twarzom. – „W tym celu każdy z nas zostawi tutaj skarby, które znalazł. Aby skłonić każdego, kto znajdzie drogę na zewnątrz, do powrotu. Jeśli już nie po to, by dotrzymać danego nam słowa, to dla zysku”.

Nie ośmieliłabym się wystawić ich na taką próbę. Rozumiałam, co zrobił.

Stos łupów będzie dawał nadzieję tym, którzy muszą tu zostać i pilnować ognia, jak również skłoni do powrotu po resztę każdego, kto znajdzie wyjście. Tym,

którzy upierali się, że zabiorą swoje skarby, Retyo powiedział tylko:

„Jak chcecie. Ale zapamiętajcie dobrze, jakiego wyboru dokonaliście. Nikt, kto tu zostanie, nie będzie wam winien pomocy. Jeśli wrócicie i zobaczycie wygasłe ognisko, a nas już nie będzie, nie łudźcie się, że po was wrócimy”.

Trzech mężczyzn, bardzo obciążonych, odeszło na bok i gorąco

dyskutowało. Inni ludzie zaczęli powoli wracać do pawilonu ze smokiem

i szybko poinformowano ich o układzie. Ci, którzy próbowali już znaleźć

wyście, szybko przystali na te warunki. Ktoś powiedział, że może reszta

Towarzystwa zacznie kopać i nas uwolni. Myśl ta spotkała się z ogólnym

milczeniem, bo wszyscy przypomnieliśmy sobie liczne stopnie, po których

schodziliśmy, żeby się dostać do tego miejsca, a także całe to błoto i ziemię,

które dzieliły nas od świeżego powietrza. Nikt już później o tym nie wspomniał.

Gdy w końcu wszyscy przystali na plan Retyo, policzyliśmy się i okazało się, że

w sali jest pięćdziesięcioro dwoje brudnych i zmordowanych mężczyzn, kobiet

i dzieci.

Dwie grupy wyruszyły w drogę. Zabrały większość naszego drewna na opał,

które przerobiliśmy na pochodnie. Zanim poszły, pomodliliśmy się wspólnie, ale

wątpiłam, czy Sa nas usłyszy, tak głęboko byliśmy pod ziemią i tak daleko od

świętej Jamaillii. Zostałam z synem, by pilnować ogniska. Na zmianę

odbywaliśmy krótkie wycieczki do sąsiednich pomieszczeń, znosząc wszystko,

co można by wrzucić do ognia. Poszukiwacze skarbów zdążyli już spalić

większość znajdującego się blisko opału, ale ciągle udawało się nam znaleźć

różne rzeczy, począwszy od masywnych stołów, do których przeniesienia trzeba

było ośmiu osób, po kawałki przegniłych krzesel i strzępy zasłon.

Większość dzieci została przy ognisku. Poza moim synem i dziećmi Chellii, było ich jeszcze czworo. Po kolei opowiadaliśmy im bajki lub śpiewaliśmy piosenki, starając się odwrócić ich uwagę od duchów, które tłoczyły się coraz bliżej, w miarę jak coraz słabiej płonęło nasze małe ognisko. Żal nam było każdego kawałka drewna, który do niego wkładaliśmy.

Mimo naszych wysiłków dzieci milkły jedno po drugim i pogrążały się w snach zasypanego miasta. Potrząsnęłam Carlminem i uszczypnęłam go, ale nie znalazłam w sobie dość siły, żeby być na tyle okrutną, by go obudzić.

Prawda wyglądała tak, że duchy dobijały się również do mojego umysłu.

W końcu odległe rozmowy w nieznanym języku zdawały się bardziej zrozumiałe niż pełne rozpaczny pomruki pozostałych kobiet. Przysnęłam na chwilę, po czym zerwałam się gwałtownie, bo przygasające ognisko wołało, bym wypełniła swój obowiązek.

„Może lepiej byłoby pozwolić im śnić aż do śmierci” – powiedziała jedna z kobiet, gdy pomagała mi wepchnąć róg ciężkiego stołu do ogniska. Wzięła głębszy oddech i dodała: – „Może wszyscy powinniśmy podejść do czarnej ściany i się o nią oprzeć”.

Pomysł bardziej kuszący, niż chciałam to przyznać. Chellia wróciła z wyprawy po drewno. „Myślę, że więcej opału zużywamy na pochodnie, niż

przynosimy” – stwierdziła. – „Posiedzę chwilę z dziećmi. Idźcie zobaczyć, czy jest jeszcze coś do spalenia”.

Wzięłam od niej reszkę pochodni i ruszyłam na poszukiwanie drewna na opał. Zanim wróciłam z żalonymi kawałkami, do ogniska dotarła część jednej z grup poszukiwawczych. Szybko wyczerpali swoje możliwości i pochodnie i wrócili z nadzieją, że innym bardziej się poszczęściło.

Gdy wkrótce potem nadeszła druga grupka, poczułam większe zniechęcenie.

Przyprowadzili siedemnaście osób, które znaleźli, wędrując po labiryncie. Owa siedemnastka była „właścicielami” tej części miasta. Wiele dni temu odkryli oni, że górne kondygnacje tego jego fragmentu się zapadły. Przez wszystkie dni poszukiwań, ścieżki zawsze prowadziły na zewnątrz i w dół. Wszelkie dodatkowe działania w tym kierunku będą wymagały więcej pochodni, niż obecnie mamy.

Zapas drewna się zmniejszył, a w splądrowanych pokojach nie znaleźliśmy dużo materiałów, które nadawałyby się na pochodnie. Wielu z nas doskwierał już głód i pragnienie. Zbyt szybko będziemy musieli się zmierzyć z jeszcze bardziej zniechęcającym brakiem. Kiedy ognisko zgaśnie, pogrążymy się w całkowitej ciemności. Gdy tylko odważyłam się o tym pomyśleć, serce zaczęło mi walić jak młotem i byłam bliska omdlenia. Wystarczająco trudne było utrzymywanie z dala od siebie ciągle żywej „sztuki” miasta. Wiedziałam, że pogrążona w mroku ulegnę jej.

Nie tylko ja zdałam sobie z tego sprawę. Przy milczącej zgodzie pozwoliliśmy, żeby ognisko przygasło, i utrzymywaliśmy mniejszy ogień.

Spływające po okazałych schodach błoto przyniosło wilgoć, od której ochłodziło się powietrze. Ludzie zbijali się w grupki, szukając w równej mierze ciepła, jak i towarzystwa. Wzdrygnęłam się, gdy woda po raz pierwszy dotarła do moich stóp. Zastanawiałam się, co najpierw mnie pochłonie: całkowita ciemność czy błoto.

Nie wiem, ile czasu upłynęło do powrotu trzeciej grupki. Znaleźli troje schodów, które wiodły w górę. Wszystkie były zatarasowane, nim dochodziły do powierzchni. Im dalej szli łączącym je korytarzem, tym bardziej był on zniszczony. Wkrótce brnęli przez płytkie kałuże, rozpryskując wodę, a zapach ziemi robił się coraz silniejszy. Gdy ich pochodnie niemal się już wypaliły, a woda stawała się coraz głębsza i coraz zimniejsza, sięgając im do kolan, wrócili. Retyo i Tremartin byli w tej grupie. Samolubnie ucieszyłam się, że żeglarz znowu jest przy mnie, nawet jeśli znaczyło to, że nasze nadzieje ograniczyły się do jednej już tylko grupy poszukiwawczej.

Retyo chciał potrząsnąć Carlminem, żeby wyrwać go z otępienia, ale zapytałam go: „Po co? Żeby popatrzył sobie w ciemność i pogrążył się w rozpacz? Niech śni, Retyo. Nie wydaje mi się, żeby miał złe sny. Gdy będę mogła wynieść go stąd na światło dzienne, to go zbudzę i postaram się, żeby do mnie wrócił. Do tego czasu zostawię go w spokoju”. Siedziałam. Retyo obejmował mnie, a ja myślałam o Petrusie i moim niegdysiejszym mężu

Jathanie. No cóż, podjął jedną mądrą decyzję. Czułam się mu dziwnie wdzięczna za to, że nie pozwolił mi zaprzepaścić życia obu synów. Miałam nadzieję, że bezpiecznie dotarł z Petrussem na wybrzeże i w końcu wrócił do Jamailii. Przynajmniej jedno z moich dzieci ma szansę osiągnąć dorosłość.

I tak, gdy czekaliśmy, nasze nadzieje słabły równie szybko, jak wyczerpywało się drewno. Mężczyźni musieli zapuszczać się coraz dalej w mrok w poszukiwaniu opału. W końcu Retyo powiedział głośniej: „Albo nadal prowadzą poszukiwania, mając nadzieję, że znajdą wyjście, albo je znaleźli i za bardzo się boją, żeby po nas wrócić. Tak czy owak, siedząc tutaj, nic więcej nie zyskamy. Idźmy tam, dokąd poszli, kierując się znakami, póki jeszcze mamy światło, które pozwoli nam ich zobaczyć. Albo znajdziemy tę samą drogę ucieczki co oni, albo umrzemy razem”.

Zabraliśmy całe drewno, do ostatniej drzazgi. Co bardziej nierozsądni przygotowali też swoje skarby, chcąc je wynieść. Nikt nie protestował, chociaż wielu gorzko się śmiało z ich pełnej nadziei chciwości. Retyo bez słowa podniósł Carlmina – ujęło mnie to, że dla niego skarbem jest mój syn. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy osłabiona przez głód zdołałabym ponieść syna. Wiem jednak, że nie zostawiłabym go tam. Tremartin przewiesił sobie Olpeya przez ramię. Chłopiec był bezwładny jak topielec. Zatopiony w sztuce, pomyślałam. Zatopiony we wspomnieniach miasta.

Z dwóch córek Chellii Piet ciągle jeszcze była przytomna. Szła, potykając się żałośnie, obok matki. Młody mężczyzna o imieniu Sterren zaproponował Chellii, że poniesie Likeę. Rozplakała się z wdzięczności.

I tak mozolnie posuwaliśmy się naprzód. Mieliśmy jedną pochodnię na przedzie i jedną na końcu pochodu, tak by nikt nie padł ofiarą czaru miasta i nie został z tyłu. Szłam w środku grupy, a ciemność zdawała się szarpać i nękać moje zmysły. Niewiele mam do powiedzenia o tej nie kończącej się wędrówce. Nie robiliśmy przerw na odpoczynek, ponieważ nasze pochodnie zużywały się w zatrważającym tempie. Było ciemno i mokro, głodni, spragnieni i zmęczeni ludzie coś wokół mnie mamrotali, i znowu ciemność. Tak naprawdę nie widziałam korytarzy, przez które przechodziliśmy, a jedynie plamę światła, za którą podążaliśmy. Kawałek po kawałku oddawałam swój ładunek drewna osobom, które niosły światło. Gdy ostatnim razem przesunęłam się do przodu, żeby podać nową pochodnię, zobaczyłam, że ściany są z błyszczącego czarnego kamienia poprzecinanego srebrem. Były misternie ozdobione sylwetkami ludzi z jakiegoś lśniącego metalu. Zciekawiona wyciągnęłam rękę, żeby jednej z nich dotknąć. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Retyo jest obok mnie. Złapał mnie za nadgarstek, zanim zdążyłam którejś dotknąć. „Nie rób tego” – ostrzegł mnie. – „Raz otarłem się o jedną z nich. Wskakują do umysłu, gdy się ich dotknie. Nie rób tego”.

Szliśmy, kierując się znakami grupy poszukiwawczej, która jeszcze nie wróciła. Po drodze oznaczali ślepe korytarze i rysowali strzałki, więc szliśmy, ciągle mając nadzieję. Po czym, ku naszemu przerażeniu, dogoniliśmy ich.

Stali zbici na środku korytarza. Gdy pochodnie się wypaliły, zatrzymali się sparaliżowani całkowitą ciemnością, niezdolni ani iść dalej, ani wrócić do nas.

Niektórzy postradali zmysły. Inni na nasz widok jęknęli z radości i zgromadzili się wokół pochodni, jakby światło było życiem, które do nich wracało.

„Znaleźliście drogę na zewnątrz?” – spytali nas, jakby zapomnieli, że to oni jej szukali. Gdy w końcu dotarło do nich, że byli naszą ostatnią nadzieją, wydawało się, iż życie z nich uszło. – „Korytarz ciągnie się bez końca – mówili – ale nie znaleźliśmy jak dotąd żadnego miejsca, z którego można by się skierować w górę. Komnaty, do których udało nam się wejść, są pozbawione okien. Uważamy, że ta część miasta zawsze znajdowała się pod ziemią”.

Przygnębiające słowa. Nie ma co się nad nimi rozwodzić.

Dalej poszliśmy razem. Natknęliśmy się na kilka skrzyżowań i na każdym wybieraliśmy kierunek niemal na chybił trafił. Nie mieliśmy już pochodni, żeby sprawdzać wszystkie możliwości. Na każdym skrzyżowaniu mężczyźni na przedzie zastanawiali się, po czym decydowali. A my szliśmy za nimi, za każdym razem myśląc, czy nie popełniamy fatalnej w skutkach pomyłki. Czy nie oddalamy się od drogi, która doprowadziłaby nas do światła i powietrza. Zrezygnowaliśmy z pochodni na końcu kolumny, zamiast tego każąc ludziom chwycić się za ręce i podążać za nami. Mimo to zbyt wcześnie zostały nam jedynie trzy pochodnie, a potem już tylko dwie. Jakaś kobieta zaczęła lamentować, gdy zapaliliśmy ostatnią. Nie paliła się dobrze, a może nasz strach przed ciemnością był tak wielki, że nie wystarczyłoby żadne światło. Wiem, że stłoczyliśmy się bliżej osoby, która niosła pochodnię. Korytarz się poszerzył,

sufit podniósł. Od czasu do czasu w blasku ognia ukazywała się srebrna postać lub żyłka srebrzystego minerału w wypolerowanej czarnej ścianie, które zachęcająco do mnie mrugały. Niemniej jednak maszerowaliśmy rozpaczliwie dalej, głodni, spragnieni i coraz bardziej zmęczeni. Nie wędrowaliśmy szybko, ale przecież nie wiedzieliśmy, czy był jakiś inny cel tej wędrówki poza śmiercią.

Zagubione duchy miasta zaczepiały mnie. Pokusa, żeby dać sobie spokój z tym żalonym życiem i zanurzyć się w zachęcającym wspomnieniu miasta, była coraz silniejsza. Fragmenty ich muzyki, rozmowy słyszane jako odległe mamrotanie, wydawało mi się, że nawet dziwne zapachy – atakowały mnie i kusily. Cóż, czy to nie przed tym Jathan zawsze mnie ostrzegał? Że jeśli nie zapanuję bardziej nad swoim życiem, najpierw zanurzę się w swojej sztuce, a potem mnie ona pochłonie? Ale tak trudno było się oprzeć, ciągnęły mnie jak haczyk wczepiony w pysk ryby. To wiedziało, że mnie ma, czekało tylko, aż wciągnie mnie ciemność.

Z każdym naszym krokiem pochodnia dawała mniej światła. Każdy krok mógł być krokiem w niewłaściwym kierunku. Przejście rozszerzyło się w hol; nie widziałam już błyszczących czarnych ścian, ale czułam, że domagają się mojej uwagi. Minęliśmy martwą fontannę obrzeżoną z dwóch stron kamiennymi ławkami. Na próżno rozglądaliśmy się za czymś, co mogłoby podtrzymać ogień. Tutaj ci dawniejsi ludzie budowali dla wieczności, z kamienia, metalu

i wypalanej gliny. Wiedziałam, że te pomieszczenia stanowią teraz skarbnicę wszystkiego, czym byli. Wierzyli, że będą tu żyć zawsze, że woda w fontannach i wirujące promienie światła zawsze będą tańczyć na ich skinieniu. Wiedziałam to równie dobrze jak to, jak się nazywam.

Tak samo jak ja naiwnie uważali, że będą żyć wiecznie dzięki swojej sztuce.

Teraz istniała tylko ich sztuka, i nic więcej.

W tej chwili wiedziałam już, jaką podjęłam decyzję. Pojawiła się tak jasna i wyraźna, że nie jestem pewna, czy była ona wyłącznie moja. A może jakiś od dawna nieżyjący artysta pociągnął mnie za rękaw, błagając o wysłuchanie i o to, żeby ktoś ostatni raz go ujrzał, zanim pograżymy się w ciemności i ciszy, które pochłonęły to miasto?

Położyłam rękę na ramieniu Retyo. „Idę do ściany” – powiedziałam po prostu. Trzeba mu przyznać, że od razu zorientował się, co mam na myśli.

„Zostawisz nas?” – spytał żałośnie. – „Nie chodzi o mnie, ale o małego Carlmina. Zatoniesz w snach i każesz mi samotnie stawić czoło śmierci?”

Stałam na palcach, żeby pocałować go w zarośnięty policzek i przycisnąć na krótko usta do pokrytego meszkiem czoła syna. „Nie zatonę” – obiecałam mu. Nagle wydawało się to takie proste. – „Wiem, jak pływać w tych wodach. Pływałam w nich od urodzenia i niby ryba popłynę nimi w górę strumienia do źródła. A ty pójdziesz za mną. Wszyscy pójdziecie”.

„Carillion, nie rozumiem. Oszalałaś?”

„Nie. Ale nie umiem tego wyjaśnić. Idź po prostu za mną i ufaj mi, tak jak ja ufałam tobie, gdy szłam po konarze drzewa. Pewnie wyczuję ścieżkę, nie

pozwolę ci spać”.

I wtedy zrobiłam najbardziej skandaliczną rzecz w życiu. Złapałam swoje znoszone, wystrzępione do połowy łydki spódnice, i oddarłam je od wszywanego paska, tak że zostałam tylko w pantalonach. Zwinęłam materiał w kłębek i wcisnęłam mu w drżące ręce. Pozostali przerwali swój powolny marsz, żeby obejrzeć mój osobliwy występ.

„Dokładaj je do pochodni, po jednym kawałku, żeby nie zgasła. I idź za mną”.

„Będziesz szła przed nami wszystkimi niemal naga?” – zapytał przerażony, jakby miało to wielkie znaczenie.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. „Gdy moje spódnice będą się palić, nikt nie zauważy nagości tej, która się rozebrała, żeby dać wszystkim światło.

A gdy się już spalą, wszystkich nas skryje mrok. Tak jak sztukę tych ludzi”.

Potem odeszłam od niego w ciemność, która nas otaczała. Słyszałam, jak krzyczy do człowieka, który niósł pochodnię, żeby się za trzymał, i jak inni mówili, że oszalałam. Ja jednak czułam się, jakbym w końcu wskoczyła do rzeki po tym, jak przez całe życie cierpiałam pragnienie. Podeszłam do muru dobrowolnie, więc zanim dotknęłam zimnego kamienia, już spacerowałam wśród nich, słuchając plotek, muzykantów na rogu i targowania się.

To był rynek. Gdy dotknęłam kamienia, ze zgiełkiem powrócił do życia.

Nagle tam, gdzie moje oczy nie widziały światła, mój umysł je postrzegał, czułam też smażące się na dymiącym ruszcie rzeczne ryby i widziałam nadziane na szpikulec, posmarowane miodem owoce na tacy ulicznego domokrążcy.

Jaszczurki wędziły się w płytkim koszu. Dzieci goniły się wokół mnie. Ludzie przechadzali się ulicami ubrani w błyszczące stroje, które mieniły się przy każdym kroku. I to jacy ludzie! Ludzie, którzy pasowali do takiego wspaniałego miasta! Niektórzy mogli pochodzić z Jamaillii, ale wśród nich kręcili się inni, wysocy i smukli, pokryci łuską jak ryby lub o skórze brązowej jak z polerowanego metalu. Ich oczy też błyszczały – srebrem, miedzią i złotem.

Zwykli ludzie ustępowali tym wywyższonym bardziej z radością niż z zimnym szacunkiem. Kupcy wychodzili ze swoich kramów, żeby zaoferować im to, co mają najlepsze, a dzieci zerkały zza spódnic swoich matek, żeby przyjrzeć się owym członkom rodziny królewskiej. Bo za takich ich miałam.

Z niejakim wysiłkiem odwróciłam wzrok i myśli od tej pełnej przepychu gali. Niejasno próbowałam sobie przypomnieć, kim jestem i gdzie naprawdę się znajduję. Wyobraziłam sobie Carlmina i Retyo. A potem świadomie się rozejrzałam. W górę i do nieba, powiedziałam do siebie. W górę i do nieba, do powietrza. Niebieskie niebo. Drzewa.

Lekko dotykając ściany, ruszyłam naprzód.

Sztuka to pogrążenie się, a dobra sztuka to pogrążenie się całkowite. Retyo miał rację. Chciało mnie wciągnąć. Ale Carlmin też miał rację. W tym tonięciu nie było zła, tylko pochłonięcie, którego wymaga sztuka. A ja byłam artystką i, jako osoba uprawiająca tę magię, przyzwyczajona byłam do tego, by trzymać

głowę ponad nurtem, nawet gdy ten był najsilniejszy i najszybszy.

Mimo to mogłam jedynie kurczowo trzymać się swoich dwóch słów. W górę i niebo. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy moi towarzysze idą za mną czy też zostawili mnie mojemu szaleństwu. Z pewnością Ketyo tego nie zrobił.

Z pewnością idzie za mną, prowadząc mojego syna. Potem, chwilę później, wysiłek konieczny, by pamiętać ich imiona, okazał się za duży. Takie imiona i tacy ludzie nigdy nie istnieli w tym mieście, a ja byłam teraz jego obywatelką.

Maszerowałam zamaszystym krokiem przez rynek w porze największego ruchu. Ludzie wokół mnie kupowali i sprzedawali egzotyczne, fascynujące towary. Kolory, dźwięki, a nawet zapachy kusiły mnie, by tu zabawić, lecz kurczowo trzymałam się słów: „W górę i do nieba”.

Nie byli to ludzie, którzy ceniliby świat zewnętrzny. Zbudowali tutaj ul, w znacznej mierze pod ziemią, oświetlony i ciepły, czysty i chroniony przed wiatrem, burzami i deszczem. Wprowadzili do środka stworzenia, które im się podobały, kwitnące drzewa, śpiewające ptaki w klatkach i małe, błyszczące jaszczurki uwiązane do krzewów w donicach. Ryby wyskakiwały i błyskały w fontannach, ale nie biegały tu i nie szczekały psy ani ptaki nie latały nad głowami. Zabronione było wszystko, co mogło spowodować bałagan. Wszystko było uporządkowane i pod kontrolą, jeśli nie liczyć żywiołowych ludzi, którzy krzyczeli i śmiali się, i pogwizdywali na swoich starannie zaplanowanych

ulicach.

„W górę i do nieba”, powiedziałam do nich. Nie usłyszeli mnie, oczywiście. Ich rozmowy toczyły się dokoła, dla mnie bezużyteczne, i chociaż zaczęłam ich rozumieć, sprawy, o których rozmawiali, nie interesowały mnie. Cóż mogła mnie obchodzić polityka królowej nie żyjącej od tysiąca lat, śluby osób z towarzystwa czy potajemne romanse, o których plotkowano hałaśliwie? „W górę i do nieba”, szeptałam do siebie i powoli, bardzo powoli wspomnienia, których szukałam, zaczynały do mnie napływać. W tym mieście byli bowiem inni ludzie, dla których sztuka oznaczała „W górę i do nieba”. Była tu wieża, obserwatorium. W mgliste noce sięgała ponad nadrzeczne mgły i tam uczeni mężczyźni i kobiety mogli badać gwiazdy oraz przewidywać, jaki wpływ mogą mieć na śmiertelników. Skupiłam na niej umysł i wkrótce już „pamiętałam”, gdzie się znajduje. Sa, bądź błogosławiony za to, że nie była ona daleko od ich rynku.

Raz się zatrzymałam, bo gdy wzrok mówił mi, że droga przede mną jest dobrze oświetlona i gładko wybrukowana, moje ręce znalazły zimny stos kamieni, które spadły, i ziemię, przez którą przesączała się woda. Jakiś mężczyzna krzyknął mi coś do ucha i przytrzymał ręce. Jak przez mgłę przypominałam sobie wcześniejsze życie. Jakie to dziwne otworzyć oczy na mrok i zobaczyć, że Retyo ściska moje dłonie w swoich. Wokół, w ciemności słyszałam ludzi płaczących i mamroczących rozpaczliwie, że poszli za marzycielką na śmierć. Nic nie mogłam zobaczyć. Ciemność była nieprzenikniona. Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło, ale nagle uświadomiłam

sobie pragnienie, które niemal mnie zadusiło. Retyo nadal kurczowo trzymał moją rękę i wtedy dowiedziałam się o długim łańcuchu ściskających się za ręce ludzi, którzy z ufnością za mną szli.

„Nie poddawajcie się. Znam drogę. Chodźcie za mną” – wychrypiałam.

Później żeglarz opowiadał mi, że nie mówiłam w żadnym znanym mu języku, ale mój przepełniony emocjami krzyk przekonał go. Zamknęłam oczy i raz jeszcze miasto wróciło wokół mnie. Inna droga. Musi być jakaś inna droga do obserwatorium. Obróciłam się plecami do ludnych korytarzy, ale gdy mijalam fontanny ze skaczącymi rybami, te zadrwiły ze mnie swoją zapamiętaną wodą. Kuszące zapachy jedzenia wisiały w powietrzu i czułam, jak mój żołądek kurczy się z tęsknoty. Ale moje słowa to „W górę i do nieba”, więc szłam dalej, nawet gdy uświadomiłam sobie, że poruszanie się sprawia mi coraz większą trudność. W innym miejscu mój język przypominał kawałek wysuszonej skóry, brzuch zaś skłębioną kulkę bólu. Ale tutaj poruszałam się z miastem, zanurzona w nim. Teraz rozumiałam słowa, które przelatywały obok mnie, czułam znajome zapachy jedzenia, a nawet znałam całe piosenki, które śpiewali uliczni grajkowie. Byłam w domu bardziej niż kiedykolwiek w Jamaillii.

Znalazłam inne schody, które prowadziły do obserwatorium, tylne schody dla służby i sprzątaczy. Po tych schodach prości ludzie wnosili sofę i tace

z kieliszkami wina dla arystokratów, którzy pragnęli ułożyć się wygodnie i wpatrywać w gwiazdy. Były tam drzwi z kiepskiego drewna. Otworzyły się, gdy je pchnęłam. Usłyszałam, jak za mną ktoś po cichu wciąga powietrze, a potem wykrzykuje słowa pochwały, które otworzyły moje oczy.

Światło dzienne, nikłe i rozproszone, podkraǳło się do nas. Kręcone schody były drewniane i chwiejne, ale postanowiłam im zaufać. »W górę i do nieba» – powiedziałam swoim towarzyszom, gdy stawiałam nogę na pierwszym skrzypiącym stopniu. – „W górę i do nieba”. A oni poszli za mną.

W miarę jak wchodziliśmy coraz wyżej, światło stawało się silniejsze i mrugaliśmy w tym słodkim półmroku niczym krety. Gdy w końcu dotarłam do górnej komnaty o kamiennej podłodze, uśmiechnęłam się, aż rozwarły się moje suche wargi.

Grube szkło okien obserwatorium popękało, przez szpary zaś wdarły się wszędobylskie pnącza, które zostawiając za sobą światło dzienne, straciły barwę i zmieniły się w blade spirale. Światło przenikające przez okna było zielonkawe i przyćmione, ale było to światło. Pnącza stały się dla nas drabiną, po której wyjdziemy na wolność. Wielu z nas roniło gorzkie łzy podczas tej ostatniej bolesnej wspinaczki.

Nieprzytomne

dzieci

i otumanionych

dorosłych

przekazywano na górę, do nas. Wzięłam bezwładnego Carlmina w ramiona i trzymałam go na dziennym świetle i świeżym powietrzu.

Czekały na nas deszczowe kwiaty, jakby Sa chciał, byśmy wiedzieli, że to z jego woli przeżyliśmy, wystarczająco dużo deszczowych kwiatów, żeby każdy z nas mógł zwilżyć usta i odzyskać zmysły. Wiatr wydawał się chłodny i śmialiśmy się radośnie, trzęsąc się z zimna. Staliśmy na szczycie dawnego obserwatorium, a ja z miłością przyglądałam się ziemi, którą kiedyś znałam. Moja piękna, szeroka dolina rzeki była teraz bagniskiem, ale nadal była moja. Wieża, która sięgała tak wysoko, teraz ledwie wystawała nad ziemię, lecz wokół znajdowały się pochylone i porośnięte mchem ruiny innych budowli, co sprawiało, że ziemia była twarda i sucha. Nie było jej dużo, niecały leffer, a mimo to po miesiącach spędzonych na bagnach wydawała się wspaniałą posiadłością. Z jej szczytu widzieliśmy rzekę leniwie toczącą swe kredowobiałe wody, na które ukośnie padały promienie słoneczne. Mój dom się zmienił, ale nadal należał do mnie.

Każdy z tych, którzy opuścili komnatę ze smokiem, wyszedł z tego żywy i nietknięty. Miasto połknęło nas, przetrawiło i uczyniło własnymi, a potem uwolniło, odmienionych, w tym bardziej przyjaznym miejscu. Tutaj, dzięki pogrzebanemu pod nami miastu, ziemia jest twardsza. W pobliżu rosną wspaniałe drzewa z wieloma konarami, na których możemy zbudować następną Wielką Platformę. Jest tu nawet pożywienie, mnóstwo pożywienia według norm Deszczowych Ostępów. Swego rodzaju winorośl zdobi pnie drzew i jest ciężka od mięsistych owoców. Przypominam sobie, że takie same owoce sprzedawano w kramach w moim mieście. Dzięki nim nie umrzemy z głodu. Na razie mamy

wszystko, czego potrzebujemy, żeby przetrwać tę noc. O reszcie możemy

pomyśleć jutro.

Dzień 7 światła i powietrza Pierwszy rok Deszczowych Ostępów

Sześć dni zajęła nam wędrówka w dół rzeki do naszej pierwszej osady. Czas spędzony w dziennym świetle i na świeżym powietrzu przywrócił większości z nas zmysły, chociaż wszystkie dzieci są trochę bardziej wycofane niż wcześniej. Nie uważam też, że bym tylko ja miała owe barwne sny o życiu w mieście. Teraz chętnie je witam. Tereny tutaj ogromnie się zmieniły od czasów miasta – kiedyś wszystko było solidnym gruntem, a rzeka błyszcząca, srebrną nicią. Ziemia w tamtych czasach także bywała niespokojna, a woda w rzece przybierała niekiedy barwę mleka i była zrąca. Obecnie drzewa zajęły z powrotem pastwiska i grunty uprawne, ale nadal rozpoznaję niektóre cechy ukształtowania terenu. Wiem też, które drzewa nadają się na drewno, z jakich liści można przyrządzić miłą, orzeźwiającą herbatę, z jakich trzcin otrzymać zarówno papier, jak i włókna, gdy ubije się je na papkę, i bardzo wiele innych rzeczy. Przetrywamy tutaj. Nie będziemy opływać w dostatki, nie będzie też nam się żyło łatwo, ale jeśli zaakceptujemy to, co ta kraina ma nam do zaoferowania, może nam to wystarczyć.

I tak jest dobrze. Moje nadrzewne miasto niemal całkowicie opustoszało. Po katastrofie, która zamknęła nas pod ziemią, większość ludzi stąd uznała, że wszystko stracone, i uciekła. Ze skarbów, które zgromadzili i zostawili na Wielkiej Platformie, zabrali jedynie drobną część. Pozostało bardzo niewiele. Marthi, jej mąż i syn są wśród nich. Marthi po moim powrocie rozplakała się z radości.

Gdy dałam wyraz swojemu gniewowi, że inni odeszli bez niej, powiedziała całkiem poważnie, że obiecali przysłać pomoc, i była pewna, że dotrzymają słowa, bo ich skarby ciągle tu są.

Jeśli chodzi o mnie, to znalazłam własny skarb. Petrus ostatecznie został tutaj. Jathan, człowiek o sercu z kamienia, wyruszył bez niego, gdy chłopak w ostatniej chwili zmienił zdanie i oświadczył, że poczeka na powrót matki. Cieszę się, że nie czekał na mnie na próżno.

Byłam wstrząśnięta, że Marthi i jej mąż zostali, dopóki nie włożyła w moje ręce powodu, dla którego to zrobili. Jej dziecko się urodziło i dla niego będą tu żyć. Jest gibkim i żywym maluchem, ale pokrywa je łuska niby węża.

W Jamailii byłoby wybrykiem natury. Ono należy do Deszczowych Ostępów.

Jak teraz my wszyscy.

Myślę, że byłam równie wstrząśnięta zmianami, które zaszły w Marthi, jak ona zmianami, które dokonały się we mnie. Wokół jej szyi i nadgarstków, na których nosiła biżuterię z miasta, pojawiły się maleńkie narośla. Gdy wpatrywała się we mnie, myślałam, że to dlatego, iż dostrzegła, jak bardzo zmieniły moją duszę wspomnienia z miasta. W rzeczywistości to pierzaste łuski na moich powiekach i wokół ust przyciągnęły jej wzrok. Nie mam lustra, więc

nie potrafię powiedzieć, jak łatwo je zauważyć. I mam tylko słowo Retyo na to, że pas szkarłatu wzdłuż mojego kręgosłupa jest bardziej pociągający niż odpychający.

Widzę, że dzieci zaczęły się pokrywać łuską, i prawdę powiedziawszy, nie wydaje mi się to wstrętne. Większość tych, którzy zeszli na dół, do miasta, ma po tym jakiś ślad – albo coś w spojrzeniu, albo delikatny zarys łusek, albo stwardniałe ciało wzdłuż szczęki. Deszczowe Ostępy oznakowały nas jako swoją własność i powitały nas w domu.

Przełożył Robert Bartold

